

PISMO BEZPŁATNE
ISSN 2299-5269

KWARTALNIK Chojnicki

ROK ZAŁOŻENIA 2012

w numerze:

PERŁY MEDALIERSTWA S. 41
POWSTAŃCZE ECHA S. 67
CZERSKI JUBILEUSZ S. 81

NR 57
LIPIEC–WRZESIEŃ
2026

KWARTALNIK Chojnicki

Spis treści

Rodzinne Chojnice

5 Emilia Kalitta, *Pulsujące serce pod kolcami*
11 Monika Garstecka, *Czasami wystarczy „Iskierka”*
16 Andrzej Plata, *Bliżej człowieka. Jak PCPR wspiera lokalną społeczność*
21 Monika Garstecka, *Maria bawić będzie się z Aslanem. Jakie imiona dają dzieciom Chojniczanie?*

Kronika chojnicka

25 Maria Eichler, *Teatr dla wszystkich*
29 Anna Maria Zdrenka, *XXXI Chojnicka Noc Poetów*
34 Weronika Sadowska, *Wspólne czytanie „Dziadów” w Chojnicach*
37 Wioletta Karpiak, *Mit ozyriański i znaczenie ikonografii sarkofagowej*
41 Maria Czaplewska-Rudnik, *Medale Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego w chojnickim muzeum*
45 Marlena Pawlak, *Rzeźba w przestrzeni miejskiej w Chojnicach*
49 Maria Eichler, *Hope Singers w Szkole Muzycznej*
51 Wioletta Karpiak, *Zakończenie wakacji z uważnością i wdzięcznością*
54 *Trzy pytania do… Adama Krausego, dyrektora CNT w Chojnicach.* Pytania zadawał: Kazimierz Jaruszewski
58 *Kronika wydarzeń lipiec–wrzesień 2026.* Opracowała: Anna Maria Zdrenka

Z dziejów miasta

63 Roch Szumyk, *Bracia Sartowscy z Nowej Cerkwi – duchowni diecezji chełmińskiej*

Wspomnienia Chojniczan

67 Maria Judejko, *Łączniczka w powstaniu warszawskim*

Chojnice i okolice

81 *100 lat praw miejskich Czerska. Rozmowa z burmistrzem Danielem Szpręgą.* Rozmawiał: Jacek Klajna

Oficyna artystyczna

91 Maria Judejko, *Mistrzyni świata we fryzjerstwie*

PISMO SPOŁECZNO-KULTURALNE

KWARTALNIK Chojnicki

ADRES REDAKCJI
Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Wysoka 3
89–600 Chojnice
www.bibliotekachojnice.pl/kwartalnik

REDAKTOR NACZELNY
dr Kazimierz Jaruszewski
kjaruszewski67@wp.pl
tel. 669 401 454

KOLEGIUM REDAKCYJNE
Maria Czaplewska-Rudnik
Monika Garstecka
Maria Judejko
dr Emilia Kalitta
Jacek Klajna
Weronika Sadowska
Irmina Szyca
Anna Maria Zdrenka
(sekretarz redakcji)
kwartalnikchojnicki@gmail.com
tel. 52 397 28 07, wew. 28

RADA PROGRAMOWA
Maciej Bonna
dr Arseniusz Finster
Adam Kopczyński
dr Przemysław Zientkowski
(przewodniczący)

OPRACOWANIE GRAFICZNE
Maciej Stanke

WYDAWCA
Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Wysoka 3
89–600 Chojnice

DRUK
Wydawnictwo REGION
Jarosław Ellwart, Gdynia

Nakład: 500 egz.

ISSN 2299–5269

Wszystkie zamieszczone materiały są objęte prawem autorskim.
Redakcja zastrzega sobie prawo do zmiany tytułów, opracowania redakcyjnego i skracania tekstów.

Kwartalnik Chojnicki
nr 57/2026

RODZINNE

Chojnice



EMILIA KALITTA

Pulsujące serce *pod kolcami*

Aby zostać adopcyjną mamą i przygotować się do nowej roli, Karolina Ostrowska musiała ukończyć kurs. W jednej z książek znalazła obrazek małego jeżyka, który pod kolcami skrywał gorące i pulsujące serduszko. Ilustracja tak zapadła jej w pamięci, że, kiedy z mężem Karolem tworzyła stowarzyszenie dla rodzin adopcyjnych i zastępczych, nazwa „Jeżykowo – ukochane miejsce" pojawiła się sama. Choć formalnie stowarzyszenie funkcjonuje dopiero od czerwca 2025 roku, to w sercu założycieli oraz adopcyjnych i zastępczych rodzin istniało od dawna.



Karolina Ostrowska, która szefuje stowarzyszeniu, przyznaje, że założyła je po to, aby pomóc również sobie. Krótka historia „Jeżykowa" to tak naprawdę historia jej rodziny adopcyjnej, którą stworzyła z mężem. – „Po zakończeniu procesu adopcyjnego rodzina nie ma już instytucjonalnej pomocy, musi radzić sobie z wszystkim sama. Dlatego powstało „Jeżykowo", aby być wsparciem dla wszystkich osób, które stworzyły skrzywdzonym dzieciom bezpieczny



dom. Jako rodzice adopcyjni jesteśmy gotowi całą naszą miłość przelać na dziecko, chcemy dać mu dom, jakiego nie miało. Zderzamy się tymczasem z bolesną rzeczywistością, że dzieci wcale nie chcą przyjąć i chłonąć tej naszej miłości, tak jak tego oczekujemy. Kolcami, które otoczyły dziecko, są na przykład przemoc, krzyki, problemy w szkole, ryzykowne zachowania. Ale wiemy, że pod tymi kolcami jest małe serduszko, które bardzo potrzebuje miłości, troski i bezpieczeństwa. Naszym zadaniem jest te małe jeżyki oswoić" – wyjaśnia Karolina.



Karolina z mężem tworzą od trzech lat rodzinę adopcyjną dla braci Jasia i Antosia. Chłopcy przebywali w rodzinie zastępczej w Żaganiu. – „Od samego początku wiedzieliśmy, że chcemy zaadoptować rodzeństwo, więc kiedy trafiliśmy na ogłoszenie, że szukana jest rodzina adopcyjna dla nich, skontaktowaliśmy się z ośrodkiem adopcyjnym, ustaliliśmy datę przyjazdu i pojechaliśmy. Jak zobaczyłam chłopców, od razu wiedziałam, że to na nich czekałam" – uśmiecha się Karolina.

Pierwsze spotkanie nie było łatwe. Było częścią procedury, które musiało

przebiegać zgodnie z planem i zasadami. – „Chłopcy przebywali w rodzinie zastępczej, gdzie mieszkały również inne dzieci i te dzieci zabiegały o naszą uwagę, mając nadzieję, że przyjechaliśmy po nie. Młodszy Jasiu miał wówczas 2,5 roczku, Antoś miał 4,5 roczku. Spotkanie było w obecności opiekunów, przedstawiciela ośrodka adopcyjnego, co było stresujące dla chłopców, ale udało się nam z nimi pobawić i spędzić trochę czasu. Do Żagania przyjeżdżaliśmy jeszcze kilka razy, aż nadszedł ten wymarzony dla nas dzień, w którym mogliśmy zabrać Jasia i Antosia do naszego domu" – wspomina Karolina.

Powrót do Lichnów, gdzie mieli zamieszkać chłopcy, nie był jednak pierwszą rodzinną, beztroską wycieczką. Adopcja jest procesem szczególnym. Nowy rodzic wypełnia między innymi tabelę, w której zaznacza, z jakimi chorobami lub dysfunkcjami dziecka jest gotowy sobie poradzić. Czasami jednak dokumentacja medyczna dziecka jest niekompletna lub dziecko nie zostało zdiagnozowane, co sprawia, że adopcyjny rodzic musi się liczyć z wieloma wyzwaniami.

– „Dla rodzica adopcyjnego dzień adopcji to najpiękniejszy dzień w życiu. Dla dziecka adoptowanego to jednak najtrudniejszy dzień, ponieważ traci wszystko to, co dotychczas było mu znane. Dostaliśmy rzeczy chłopców, było tego przeraźliwie mało. Całe życie każdego z nich zmieściło się w jednej reklamówce, była jakaś zabawka i troszkę ubrań na zmianę. My czuliśmy radość, że chłopcy są już w naszym samochodzie i jedziemy do domu. Tymczasem Jasiu i Antoś, jak tylko wyjechaliśmy z Żagania, zaczęli bardzo płakać, nie rozumieli do końca, co się dzieje. Z ich perspektywy wyglądało to tak, że zostali zabrani od cioci Sylwii i jadą nie wiadomo dokąd. Nie mogliśmy ich uspokoić. W siatce Antosia był spory zapas jego ulubionych ciasteczek Lubisiów. Dałam mu jedno, odgryzł kawałek, a resztę Lubisia trzymał w rączce przez kilka godzin, wpatrując się w jeden punkt, tak długo, aż dojechaliśmy do Lichnów. Chłopcy po wejściu do domu nie wiedzieli, co mają w nim robić, brali zabawki do ręki i od razu odkładali je na swoje miejsce. Pierwszą noc wszyscy spaliśmy w jednym łóżku. Antoś zasnął z rękoma wzdłuż ciała i przespał w tej jednej pozycji całą noc. Ja prawie wcale nie spałam, dlatego, kiedy na niego zerkałam, widziałam, że praktycznie wcale się nie poruszał. Był jak zamrożony. Kiedy rano się obudził, dalej tak leżał bez ruchu, dopóki nie poprosiłam, aby wstał. Początki były





bardzo trudne. Antoś krzyczał całymi dniami, przerywał tylko na czas posiłku. I choć było to bardzo wyczerpujące, to nie zadawałam mu pytania „co ci jest?", tylko sobie zadawałam pytanie „co Ci się dziecko przytrafiło, że tak reagujesz?". Krzyk jest formą obrony, radzenia sobie ze strachem, czasami ostrzeżeniem typu „nie zbliżaj się do mnie, bo będę się bronił, mogę cię uderzyć albo opluć". Młodszy Jasiu z kolei miał bardzo dużą potrzebę przytulania się i ciągle chciał być blisko. Mimo wielu trudności, wiem, że nigdy nie dokonałabym innego wyboru. To są moi synkowie, a ja jestem ich mamą" – nie ukrywa wzruszenia Karolina.

Każdy rodzic adopcyjny ma prawo wglądu do akt sądowych dotyczących rodziny dziecka. Karolina skorzystała z tej możliwości i zapoznała się z notatkami z wszystkich interwencji w biologicznej rodzinie Jasia i Antosia. – „To przerażające, jak bardzo dorośli są w stanie skrzywdzić dziecko. To, że wiem, co moje dzieci przeszły, sprawia, że łatwiej mi zrozumieć wiele z ich zachowań. Dlatego to nie dziecko jest trudne, ale trudne jest to, przez co przeszło" – podkreśla Karolina.

Obecnie największą potrzebą „Jeżykowa" jest własna siedziba. Na początku funkcjonowania otrzymali deklarację bezpłatnego dwuletniego użytkowania lokalu od jednego z lokalnych przedsiębiorców. Sytuacja jednak uległa zmianie i „Jeżykowo" musiało pilnie znaleźć nowe schronienie. Z pomocą przyszedł inny przedsiębiorca, który bezpłatnie udostępnił jeden ze swoich budynków w Człuchowie. Jest to jednak również oferta ograniczona czasowo, dodatkowo warunki lokalowe nie pozwalają na realizację planu terapeutycznego zgodnie z wszystkimi potrzebami. Zimą prawdopodobnie będzie to całkowicie niemożliwe, ze względu na brak ogrzewania.

– „Próbuję wydeptać wiele ścieżek, szukając dla nas siedziby, w której moglibyśmy działać. Czasami na przeszkodzie stoją kwestie formalno-prawne, a czasami jest to po prostu brak zainteresowania tym, jak bardzo jest to istotne dla naszej działalności. Nie poddajemy się i wierzę, że znajdziemy dla siebie miejsce, a w ciągu 5 lat osiągniemy nasz cel, jakim jest stworzenie domu typu lighthouse" – podkreśla Karolina.

Lighthouse to dom, w którym wszystkie potrzebne terapie są w jednym miejscu, a rodzic nie musi z dzieckiem jeździć od jednego specjalisty do drugiego. Przyjeżdża do lighthouse i tutaj dziecko oraz rodzic otrzymują pełne wsparcie. Modelowym domem jest „Ukochany Lighthouse – Centrum Wsparcia Dzieci i Rodzin"



w Białej Podlaskiej, gdzie Karolina jest częstym gościem. „Jeżykowo" działa dla około 130 dzieci skupionych w kilkudziesięciu rodzinach z powiatów chojnickiego i człuchowskiego. Dla dzieci organizowane są liczne terapie, np. terapia ręki, dogoterapia, hipoterapia. Latem rodziny pojechały do Gdańska do sali zabaw „Majaland", gdzie dzieci mogły się wyskakać, a i rodzice skorzystali z takiej możliwości i chętnie bawili się z nimi. W wakacje dzieci mogły również jeździć konno, bawić się w kolorowej pianie, jednym słowem przeżywać dzieciństwo tak, jak powinno to wyglądać.

„Jeżykowo" wspiera również rodziny zastępcze w opiece nad dziećmi umieszczonymi u nich w wyniku interwencji lub innych życiowych sytuacji. Państwo Karolina i Karol Ostrowscy sami tworzą rodzinę zastępczą dla 5-letniej Weroniki. Choć bardzo chcieliby ją adoptować, na drodze stoją przeszkody prawne. – „Weronika jest Ukrainką, czyli w świetle polskiego prawa jest cudzoziemskim dzieckiem, w dodatku z kraju, w którym toczy się wojna. Przebywając w rodzinie zastępczej, nie może otrzymać nawet karty czasowego pobytu. Nasz wniosek o to został rozpatrzony negatywnie. Weronika utknęła w systemie, który nie wie, jak to rozwiązać. Specjalnie pojechałam kilkaset kilometrów na jedną konferencję, aby spotkać się z Rzecznikiem Praw Dziecka i przedstawić tę trudną sytuację i apelować o skuteczne rozwiązanie" – opowiada Karolina.

Wsparcia i wytchnienia potrzebują również adopcyjni oraz zastępczy rodzice. Ograniczenia czasowe i lokalizacyjne sprawiają, że nie sposób zebrać wszystkich razem, dlatego spotykają się w mniejszych grupkach i wymieniają się doświadczeniami. – „Jednym



z najmilej wspominanych momentów był wieczór SPA dla mam. To, jak zostały ugoszczone i zadbano o nie, sprawiło, że mogły na nowo nabrać sił do dalszego działania" – uśmiecha się Karolina.

Karolina każdego dnia wdraża w życie metodę TBRI (Trust-Based Relational Intervention). Jest to interwencja relacyjna oparta na zaufaniu, skoncentrowana na budowaniu więzi z dzieckiem przed korygowaniem jego trudnych zachowań. Metoda ta skierowana jest przede wszystkim do dzieci, które doświadczyły traumy, przemocy, zaniedbania lub wielokrotnych zmian środowiska opiekuńczego. – „Byłam na szkoleniu, słuchałam z zapartym tchem, jak takie podejście może wpłynąć na dziecko. Przykłady przemocy, o których usłyszałam na tym szkoleniu, nie mieściły mi się w głowie. Ale kiedy szkoleniowcy opowiadali, jak mimo tego było możliwe zbudowanie ze skrzywdzonym dzieckiem relacji i odbudowanie jego zaufania do dorosłych, zrozumiałam, że jest to cenny sposób, aby ocalić te dzieci" – opowiada Karolina. Ukończenie przez nią szkolenia sprawiło, że nabyła kompetencje, aby przekazywać wiedzę o tej metodzie wśród rodzin adopcyjnych i zastępczych, przydatną w budowaniu ich relacji z dziećmi.

W filigranowej posturze Karoliny kryje się tyle siły i determinacji, że mogłaby obdzielić nimi całe Chojnice. Ale właściwsze jest, aby to powiat chojnicki obdarował „Jeżykowo" przytulnym i bezpiecznym miejscem, w którym skrzywdzone dzieci będą mogły schować kolce.

Fot. ze zbiorów Stowarzyszenia „Jeżykowo – ukochane miejsce"

MONIKA GARSTECKA

Czasami wystarczy

„Iskierka”

Jest 18.30. Stoję przed drzwiami domu, za którymi obecnie mieszka 13 dzieci. Nie dzwonię, bo pani Dorota uprzedziła, że najmłodsze najczęściej idą spać właśnie o tej godzinie. Kiedy jednak wchodzę do środka, okazuje się, że maluchy mają mały „poślizg”. Bartuś patrzy na mnie z zainteresowaniem, kiedy jedna ze starszych dziewczyn mieszkających w Rodzinnym Domu Dziecka „Iskierki” Doroty i Waldemara Narlochów zapina mu body. Tymczasem półtoraroczny Sebastian raczkuje i po prostu prawie hipnotyzuje mnie swoim cudownym uśmiechem. Za chwilę obaj, „zaopiekowani”, znikają razem z butelkami mleka, które przed chwilą stały na stole. Pojawia się



Odpowiedzialność za siebie i innych – to jedna z wartości w Rodzinnym Domu Dziecka „Iskierki”
(fot. Dorota Narloch)



Wspólne wakacje – to piękne przeżycie dla całej rodziny (fot. Dorota Narloch)

za to mająca cztery i pół roku Kornelia. Ma w planach posiedzieć z nami przy stole, jednak chyba jej zainteresowanie szybko wygasa i postanawia pójść spać. Przez salon, w którym siedzimy, co chwile przechodzi jakaś nastolatka. – „Gdzie są worki takie większe do gałęzi?". – „Mogę jeszcze wyjść na 15 minut?". – „Dobry wieczór. Tylko się przywitam i idę spać. Jestem zmęczony" – to akurat 12-letni Maciej. Siedzimy przy stole wspólnie z panią Dorotą, jej mężem i dwiema biologicznymi córkami Wiktorią i Sarą. Później dołącza 18-letnia Julia. – „Julia dzisiaj super zajęła się maluchami" – chwali ją pani Dorota.

Myśl zakiełkowała w Lublinie

Julia zerka na leżącą na stole małą tablicę, na której mazakiem narysowane są tabelki, literki, skróty. Energicznie zmazuje jedną z literek i zastępuje ją inną. W innej kolumnie coś dopisuje. To tajemnicze działanie nie jest niczym innym jak „ściągą", kto co dzisiaj ma do zrobienia lub zrobił. Wynoszenie śmieci, sprzątnie ze stołu, rozładowanie zmywarki i inne drobne prace domowe. – „Mamy podział zajęć. To bardzo ułatwia nam organizację naszej codzienności" – wyjaśnia pani Dorota. – „Jednocześnie uczymy dzieci obowiązkowości i wspólnej odpowiedzialności".

Chyba inaczej by to wszystko nie zadziałało. Pani Dorota pracuje zawodowo jako pedagog w Zespole Szkół Specjalnych w Chojnicach, a domem zajmuje się jej mąż.

Mówią, że była to ich wspólna decyzja, chociaż pan Waldemar na początku nie był w 100 procentach pewny, czy chce tworzyć dom dla dzieci, którym biologiczni rodzice nie są w stanie go zapewnić. Ta myśl natomiast kiełkowała w pani Dorocie już od czasów studiów. – „Zaczęło się chyba w momencie, gdy w czasie studiów odwiedzaliśmy Rodzinny Dom Dziecka w Lublinie. Atmosfera tego domu, troska i niesamowite ciepło pani Ani sprawiło, że zapragnęłam w przyszłości robić coś podobnego. No i udało się. Mimo że mój małżonek nie od razu był na tak i przez kilka lat dojrzewał do tej decyzji, to dzisiaj świetnie spełnia się w roli rodzica zastępczego”.

Przychodzą z bagażem… emocji

A nie jest to łatwe zadanie. Dzieci, które trafiają do rodzin zastępczych, przynoszą ze sobą bagaż. I to wcale nie chodzi o materialny, bo ten akurat najczęściej jest bardzo skromny. Przynoszą ogromny bagaż emocjonalny – niekoniecznie pozytywnych doświadczeń, sporo trudnych wspomnień, wewnętrzny bunt, protest, często pewnie żal do świata. I z tym wszystkim trzeba sobie radzić. Wymaga to od rodziców zastępczych cierpliwości, zrozumienia, wsparcia.



Dorota Narloch przykleja magnetyczną tablicę z podziałem drobnych obowiązków w domu (fot. Monika Garstecka)



Kolejna butelka gotowa. Dla Sary pomoc rodzicom w prowadzeniu Rodzinnego Domu Dziecka jest jak najbardziej naturalna (fot. Monika Garstecka)

Pierwsze z przyjętych do domu Narlochów dzieci były u nich aż do pełnoletności – rodzeństwo: roczny Błażej i trzyletnia Klaudia. Były też takie dzieci, które trafiały na kilka miesięcy. Z ogromnymi emocjami mówią o dziesięciodniowych bliźniakach. Te maluchy, a zwłaszcza rozstanie z nimi, to cały czas bardzo emocjonalne wspomnienie. – „Pozbawianie praw rodziców biologicznych, proces adopcyjny, sprawy formalne – to wszystko trwało niestety aż dziewięć miesięcy, przez które cała nasza rodzina bardzo zżyła się z tymi maluchami. Przeżywaliśmy rozstanie. Nie tylko my, ale także nasi najbliżsi, którzy wspierają i pomagają nam w opiece" – opowiada pani Dorota i przywołuje tutaj swoich nieżyjących już rodziców, mamę męża, a także inne ciocie i wujków. – „Z kolei w zeszłoroczny Wielki Piątek dostaliśmy telefon w drodze do kościoła" – mówi pani Dorota. – „Dzieci odebrane biologicznym rodzicom, wymagające opieki od zaraz. W takich sytuacji nie mogliśmy odmówić. Zresztą z tym odmawianiem u nas jest chyba najtrudniej".

Wsparcie nie ogranicza się tylko do najbliższych. Prowadzący rodzinne domy dziecka i rodziny zastępcze są ze sobą w kontakcie, wymieniają się troskami, doświadczeniami… Ale nie tylko. Kiedy potrzebne jest nagle łóżeczko, wózek czy inny sprzęt, którego nie da się kupić w danym momencie, a dziecko jest już za progiem, to wystarczy rzucić hasło wśród innych rodzin zastępczych i po sprawie.

Terapeutyczny grafik

Wiktoria i Sara, czyli biologiczne córki, są dziś dorosłe. Kiedy rodzice zdecydowali się na Rodzinny Dom Dziecka, one miały po sześć i osiem lat. Co sobie wówczas myślały? Jak odbierały decyzję mamy i taty? – „Raczej nie zdawałyśmy sobie do końca sprawy, jak będzie wyglądało nasze życie. Po prostu cieszyłyśmy się, że będą małe dzieci i tyle” – mówią. Być może taka formuła pełnego domu i licznej rodziny miała wpływ na ich dalszą drogę. Wiktoria skończyła pedagogikę, a Sara – położnictwo. Mieć pod dachem osoby z takimi umiejętnościami to ogromna pomoc przy kilkunastu dzieciach w różnym wieku i z różnymi problemami. Często bowiem wymagają one dodatkowej opieki psychologicznej, wsparcia terapeutów, rehabilitantów i innych specjalistów. Tak jak obowiązuje grafik codziennych porządków, tak też jest ten terapeutyczny. Wyjazdy do Gdańska, Bydgoszczy czy innych ośrodków. Czasami kilka razy w ciągu tygodnia.

Najpiękniejsze momenty? – „Hmmm” – zamyśla się pani Dorota. – „Wspólne wakacje, wyjazdy, Święta Bożego Narodzenia – może nie wszystkie, bo nie zawsze wszyscy mieli ochotę usiąść do wspólnego stołu. Cenne jest też przełamywanie pierwszych lodów. Dzieci kilkuletnie i te nastoletnie przychodzą do naszej rodziny, nie wiedząc, czego się spodziewać, pełne obaw, z dystansem…, a potem siadają tak naturalnie i buzie im się nie zamykają. Pięknym doświadczeniem, choć trudnym emocjonalnie, jest przygotowywanie i przekazywanie maluszków do adopcji. Gdy widzimy rodziców, którzy z taką iskierką w oku, nawiązują coraz bliższe, spontaniczne relacje z dziećmi, to jest to, co chwyta za serce. Ale chyba takim największym szczęściem jest to, kiedy dzieci, które wychodzą z naszego domu, układają sobie dobrze życie”.

Czy warto było podjąć się tej misji 17 lat temu? – „Dzisiaj mogę powiedzieć, że tak. Oczywiście sami czasami mieliśmy przysłowiowego doła, ale nigdy nie wątpiliśmy w to, że te dzieci zasługują na naszą uwagę, troskę i bezpieczny dom” – podkreśla pani Dorota. Przez 17 lat prowadzenia swojego domu zapewnili go 25 dzieciom.

Kiedy wychodzę, jest godz. 21.00. Pani Dorota wybiera się jeszcze na zakupy. – „To najlepsza pora, bo nie ma za dużo ludzi, a dzieci śpią” – wyjaśnia. Jutro rano w domu, w który gościłam, obudzą się: Sebastian, Bartosz, Kornelia, Maciej, Adam, Ewa, Piotr, Lena, Julia, Magda, Oliwier, Wiktoria i Sara.

ANDRZEJ PLATA

Bliżej człowieka.

Jak PCPR wspiera lokalną społeczność

Trudne sytuacje życiowe, nagłe kryzysy, zmagania z niepełnosprawnością czy poszukiwanie bezpiecznego schronienia dla dzieci – to codzienność, w której mieszkańcy powiatu chojnickiego nie pozostają sami. Kluczową rolę w systemie lokalnego wsparcia odgrywa Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie (PCPR) w Chojnicach, które, poprzez swoją działalność i realizowane programy, codziennie udowadnia, że pomoc społeczna to nie tylko urzędowe procedury, ale przede wszystkim realne i wszechstronne bycie bliżej drugiego człowieka.



Profesjonalne wsparcie w obliczu niepełnosprawności

Jednym z najważniejszych filarów działalności chojnickiego PCPR-u jest pomoc osobom zmagającym się z trwałymi lub okresowymi ograniczeniami sprawności organizmu. Kluczowym organem w tym obszarze jest Powiatowy Zespół ds. Orzekania o Niepełnosprawności, stanowiący pierwszą instancję dla osób ubiegających się o prawne potwierdzenie statusu osoby z niepełnosprawnością. Zespół wydaje orzeczenia zarówno dla dzieci do 16. roku życia, jak i dla dorosłych, określając stopień niepełnosprawności (lekki, umiarkowany lub znaczny) oraz wskazania do ulg



i uprawnień. Dokumenty te otwierają drzwi do szerokiego katalogu form pomocy finansowej i rzeczowej.

Dzięki środkom pozyskiwanym z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (PFRON), PCPR realizuje szereg ustawowych programów wsparcia. Mieszkańcy mogą ubiegać się o dofinansowanie m.in. do:

- turnusów rehabilitacyjnych,
- zaopatrzenia w przedmioty ortopedyczne i środki pomocnicze,
- sprzętu rehabilitacyjnego do użytku domowego,
- likwidacji barier architektonicznych, technicznych oraz w komunikowaniu się.

O dofinansowanie mogą się również starać organizacje pozarządowe, fundacje oraz instytucje planujące organizację imprez kulturalnych, sportowych, turystycznych czy rekreacyjnych.

Nowoczesna aktywizacja: Program „Aktywny Samorząd”

PCPR w Chojnicach idzie z duchem czasu, stawiając na pełną aktywizację społeczną i zawodową mieszkańców powiatu chojnickiego. Narzędziem do osiągania tego celu jest program celowy „Aktywny Samorząd”. Obejmuje on dwa główne moduły.

Moduł I skupia się na likwidacji barier transportowych (dofinansowanie oprzyrządowania samochodów oraz kursów prawa jazdy m.in. dla osób z dysfunkcją ruchu i słuchu), barier w dostępie do społeczeństwa informacyjnego (zakup nowoczesnego sprzętu elektronicznego i brajlowskiego wraz ze szkoleniami) oraz barier w poruszaniu się (dofinansowanie wózków elektrycznych, skuterów czy nowoczesnych protez

kończyn). Program pamięta również o osobach aktywnych zawodowo, które pełnią rolę opiekunów prawnych, oferując dofinansowanie kosztów żłobka lub przedszkola dla ich dzieci. Ponadto realizowane są działania ukierunkowane na wsparcie osób korzystających z koncentratorów tlenu lub respiratorów poprzez dofinansowanie kosztów energii elektrycznej związanych z użytkowaniem tych urządzeń.

Moduł II to pomoc w uzyskaniu wykształcenia na poziomie wyższym, oferująca studentom szkół wyższych i policealnych dofinansowanie do czesnego oraz dodatki na pokrycie kosztów kształcenia. Całość obsługi wniosków została zdigitalizowana – dzięki ogólnokrajowej, bezpłatnej platformie SOW (System Obsługi Wsparcia), beneficjenci mogą składać dokumenty przez internet, bez konieczności wychodzenia z domu.

Dom, rehabilitacja i integracja, czyli DPS i WTZ

Dla osób, które z różnych przyczyn nie mogą pozostać w domu rodzinnym, stabilną przystań stanowi Dom Pomocy Społecznej w Chojnicach przy ul. Leśnej 12. Umiejscowiony w kompleksie budynków Szpitala Specjalistycznego dysponuje 108 miejscami dla osób przewlekle psychicznie chorych. PCPR nie tylko koordynuje proces umieszczania tam mieszkańców i prowadzi listy oczekujących, ale też dba o rzetelną kontrolę jakości świadczonych usług.

Równie istotną rolę w systemie integracji społecznej pełnią Warsztaty Terapii Zajęciowej (WTZ). Na terenie powiatu chojnickiego prężnie działają trzy takie placówki: w Czersku, Chojnicach oraz Brusach. Codzienne, 7-godzinne zajęcia pozwalają osobom niezdolnym do pracy na zdobywanie lub przywracanie umiejętności niezbędnych do samodzielnego funkcjonowania, a w przyszłości – być może również do podjęcia zatrudnienia. PCPR ściśle współpracuje z organizacjami prowadzącymi WTZ, czuwając nad ich finansowaniem i coroczną oceną działalności.

Rodzicielstwo zastępcze – serce na zastępstwo pilnie poszukiwane!

Jednym z najbardziej poruszających i odpowiedzialnych obszarów działalności PCPR-u jest koordynacja rodzinnej pieczy zastępczej. Instytucja ta stale poszukuje i wspiera ludzi o wielkich sercach, gotowych stworzyć czasowy, bezpieczny dom dla dzieci pozbawionych opieki rodziców biologicznych.

Struktura pieczy zastępczej w powiecie obejmuje rodziny spokrewnione (dziadkowie, rodzeństwo), niezawodowe (dalsi krewni lub osoby niespokrewnione) oraz zawodowe (w tym specjalistyczne, pogotowia rodzinne i rodzinne domy dziecka), w których jeden z rodziców rezygnuje z pracy, by w pełni poświęcić się dzieciom. Każda z tych form otrzymuje systematyczną pomoc finansową na utrzymanie dzieci oraz wsparcie ze strony profesjonalnego zespołu PCPR-u: psychologów, pedagoga, psychotraumatologa oraz dedykowanych koordynatorów.

POSZUKUJEMY
RODZIN ZASTĘPCZYCH

Apel kierujemy do osób, które czują potrzebę niesienia pomocy, są gotowe oddać dzieciom swój czas i serce.

PCPR
POWIATOWE CENTRUM POMOCY RODZINIE
w Chojnicach



Otwórz dom...
Otwórz serce...

Powody, dla których warto:

- dajesz potrzebującemu dziecku dom, troskę i miłość, których być może wcześniej nie doświadczyło;
- tworzysz więzi, które mogą trwać całe życie;
- satysfakcja z dawania wsparcia i poczucia bezpieczeństwa dziecku w potrzebie;
- radość z osiągnięć i postępów podopiecznych.

Osobom podejmującym się pieczy zastępczej zapewniamy:

- szkolenia i grupy wsparcia;
- opiekę i wsparcie koordynatora;
- poradnictwo specjalistyczne (m. in. psycholog, pedagog, prawnik);
- świadczenie na pokrycie kosztów utrzymania dziecka umieszczonego w pieczy zastępczej;
- wynagrodzenie dla rodzin zawodowych.

Zapraszamy osoby zainteresowane do kontaktu z nami:

Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie w Chojnicach
ul. Piłsudskiego 30, pokój 034 (parter), tel. 52 33 44 497
e-mail: pcpr@infochojnice.pl
www.pcpr.infochojnice.pl

Statystyki pokazują ogromną skalę tego wyzwania – w powiecie funkcjonuje ponad 120 takich domów, dających schronienie blisko 250 dzieciom. Najwięcej rodzin zastępczych działa na terenie gmin Chojnice oraz Czersk. Takich rodzin wciąż potrzeba, dlatego PCPR nieustannie prowadzi kampanię „Zostań rodziną zastępczą", zapraszając do kontaktu małżeństwa oraz osoby samotne, które spełniają warunki formalne i chcą podarować dzieciom bezpieczne dzieciństwo.

Punkt Interwencji Kryzysowej: Pomoc w oku cyklonu

Życie bywa nieprzewidywalne, a nagłe wydarzenia – takie jak wypadki, przemoc domowa, śmierć bliskiej osoby czy trauma wojenna – potrafią z dnia na dzień zburzyć poczucie bezpieczeństwa. W takich momentach natychmiastową, bezpłatną deską ratunku staje się Punkt Interwencji Kryzysowej (PIK) działający przy PCPR-ze.

PIK funkcjonuje od poniedziałku do piątku w godzinach 7.00–15.00, oferując również popołudniowe dyżury specjalistów. Interdyscyplinarny zespół pracuje nad przywróceniem poszkodowanym równowagi psychicznej. Oprócz bieżącego wsparcia psychologicznego i profilaktyki, punkt realizuje m.in. programy korekcyjno-edukacyjne dla sprawców przemocy domowej. PIK współpracuje z policją, sądem, szkołami i ośrodkami pomocy społecznej, zabezpieczając systemowo każdego, kto przeżywa kryzys życiowy.

Andrzej Plata jest dyrektorem Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Chojnicach.

Fot. ze zbiorów PCPR w Chojnicach

MONIKA GARSTECKA

Maria bawić będzie się z Aslanem.

Jakie imiona dają dzieciom Chojniczanie?

Wybór imienia to często dla rodziców prawdziwe wyzwanie. Imię po babci? Ale z której strony? Może takie, o którym zawsze marzyła przyszła mama? A może wybrać imię ulubionego bohatera powieści taty? Ulec modzie, czy postawić na klasykę? Analizując dane z Urzędu Stanu Cywilnego w Chojnicach, widzimy, jak na przestrzeni lat zmieniały się trendy. Chociaż trzeba przyznać, że wielkiej rewolucji nie było. Najbardziej popularnym w tym roku Marii i Janowi ustąpili ubiegłoroczni Zofia i Leon. I tu ciekawostka, bo ci pierwsi w 2025 roku nie byli nawet w pierwszej piątce.

Dekada zmian

Gdybyśmy cofnęli się o około 10 lat, to w dziecięcych wózkach na ulicach Chojnic najczęściej spotkalibyśmy Zuzanny i Antonich. Imiona najmłodszych Chojniczan wpisywały się wówczas w ogólnopolskie trendy. Zuzannie deptały po piętach Hanny i Maje. Wśród chłopców z kolei około 2016 roku przeważał Antoni. Towarzyszyli mu Szymon, Jan oraz Filip. Co zmieniło się przez dekadę? Wyraźnie umocnili się nowi faworyci. Przez pewien czas w Chojnicach rodzice odbierali akty urodzenia Zofii, Poli, Leona i Nikodema. Zaczęto też śmielej sięgać po imiona retro, odkurzając te, które nosili nasi pradziadkowie.

Tradycja kontra salony

Potwierdzeniem tego są najnowsze dane z chojnickiego USC (obejmujące okres od stycznia do września 2026 roku). Na szczycie zestawień najpopularniejszych imion widać zwrot ku fundamentowi polskiej tradycji. Wśród dziewczynek najczęściej wybieranym imieniem została Maria, a tuż za nią uplasowały się: Anna, Zofia, Ewa oraz Natalia. U chłopców bezkonkurencyjny okazał się Jan, potem: Stanisław, Tomasz, Piotr oraz *ex aequo* Henryk i Krzysztof. To zestawienie pokazuje, że Chojniczanie w tym roku postawili na klasykę. Z takimi imionami ich właściciele doskonale

poradzą sobie w piaskownicy, jak i w dorosłym życiu, ponieważ zdrobnienia brzmią jak najbardziej naturalnie.

Na szczęście nasze miasto nie żyje w kulturalnej izolacji. Obok silnego tradycyjnego nurtu są rodzice, którzy chcą, aby imię ich dziecka wyróżniało je wśród rówieśników. W grupie bardziej oryginalnych imion żeńskich w Chojnicach właśnie w okresie od stycznia do września tego roku pojawiły się krótkie formy, takie jak: Mia, Noemi, Lea, Lara i Rita. Ale w pierwszej dziesiątce tych najmniej popularnych znalazły się Greta czy Wilhelmina. Za kilka lat do przedszkola pójdą też dziewczynki o egzotycznych imionach, takich jak Carmen i Amina. Jest duże prawdopodobieństwo, że razem bawić się będą ze staropolsko brzmiącą Jagną. Męskie zestawienie w przypadku tych najrzadziej nadawanych imion otwiera Aslan (być może to ukłon w stronę miłośników literatury fantasy?), a tuż za nim plasują się: Leo, Dorian, Hugo, Aron oraz Jonatan. Co więcej, w chojnickim urzędzie umiejscowiono w tym roku zagraniczne akty urodzenia z tak światowymi imionami, jak: Charlotte, Shanaya, Carlen, Michelle, Yustyn, Theo, Maxim czy Saveli.

Efekt fali, czyli gdzie się podziały Moniki?

Te zmiany, powroty po latach do imion, które jakiś czas temu wydawały nam się np. staroświeckie, to efekt fali. Żeby nie szukać za daleko, skupię się na swoim imieniu. W styczniu 2026 roku w skali całego kraju do imienia Monika przypisane było 376 767 PESEL-i, co dawało wysokie, bo 13. miejsce, ale wśród nowo narodzonych dzieci raczej zaliczyć można je do bardziej unikatowych. Przynajmniej dzisiaj. W całej Polsce w pierwszej połowie tego roku rodzice zdecydowali się na Monikę tylko 32 razy… I ani razu w Chojnicach. Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że imię to przeżywało swój boom w latach 70. i 80. XX wieku. Chyba było takim lekkim powiem nowoczesności w PRL-u. W chojnickich szkołach Monika wybrzmiewała na korytarzach dosyć często. Lata 90. przyniosły powolne nasycenie, a po 2000 roku nastąpił drastyczny spadek. Może po prostu rodzice unikają imion, które kojarzą im się z ich własnym pokoleniem, a może Monika musi „odpocząć" i za kilka lat powróci w glorii, jak dzisiejsza Maria.

Kwartalnik Chojnicki
nr 57/2026

KRONIKA
chojnicka



MARIA EICHLER

Teatr
dla wszystkich

3 lipca rozpoczęła się w Chojnicach Teatralna Fiesta, czyli święto ulicznego teatru. To taki magiczny czas, kiedy teatr wychodzi do ludzi – na ulicę, na rynek, do fosy.

Na początek było widowisko dla dzieci w fosie miejskiej, a tego, czym jest teatr, uczył je nie kto inny, jak Charlie Chaplin. On też był bohaterem kolejnego spektaklu, dla bardziej już dojrzałej widowni. Jego rozmaite przygody, nie tylko sercowe, śledziliśmy bez jednego słowa ze sceny, jedynie w postaci slapstickowych scenek, oczywiście



Chaplin rozbawi i wzruszy każdego. Spektakl Teatru HoM z Tychów



Czyż ten Rosynant nie jest godny podziwu? Spektakl Teatru HoM

z towarzyszeniem muzyki, jak to ongiś w kinie bywało, kiedy to taper podbijał i tempo, i emocje swoją grą na pianinie. Było wesoło, było śmiesznie i było interaktywnie, z zaczepkami widzów… Aktorzy spisują się w tym przedstawieniu świetnie i gdyby nie ziąb, który nastał po trzydziestostopniowym żarze, to pewnie byłoby więcej publiczności.

Po co komu książki?

Potem na Starym Rynku obejrzeliśmy *Don Kichota* z jakże współczesnym przesłaniem. – „Po co komu książki, po co komu miłość?" – pytają w tym spektaklu. Po co komu taki śmieszny bohater, który walczy z wiatrakami, a jak kocha, to na zabój? No jasne, w małym miasteczku zrobią z tym cudakiem porządek, a płakać będzie po nim Dulcynea, wierny sługa Sancho Pansa i może Rosynant, jego koń. – „Fajnie go zrobili" – słychać było w tłumie. Faktycznie, Rosynant pewnie wszystkim się spodobał, bo był bardzo sprawnie animowany przez aktorów i mimo całej swojej symbolicznej powłoki wyglądał jak… koń. Dreszcz człowieka przechodzi jednak, jak widzi scenę palenia książek i rugowania ze wspólnoty odszczepieńca, co za wiele się naczytał…



Taki klimat wyczarował spektakl „Kaszubski Kosmos"

Goście z Teatru HoM z Tychów, którzy przywieźli do nas te przedstawienia, mówili po występie, że bardzo im się u nas podoba, że podziwiają świetną organizację i życzliwość, a także odbiór publiczności. – „Czujemy się tu jak w domu" – chwalili. Nie wykluczają, że jak dostaną zaproszenie, to przyjadą znowu.

Kosmos z Chełmowskim



Anioły na scenie i na obrazku Józefa Chełmowskiego – spektakl „Kaszubski Kosmos”

Drugi dzień Festiwalu Sztuki Ulicznej im. Eugeniusza Mikołajczyka (po raz 32.), odbywał się już przy lepszej pogodzie, co przełożyło się na liczbę widzów. Szczelnie oblepili barierki na Starym Rynku, za którymi rozgrywało się niesamowite widowisko pt. *Kaszubski Kosmos* wedle koncepcji i w reżyserii Piotra Wyszomirskiego. Faktycznie rzecz jest kosmiczna, bo opowiada o mitycznym początku świata, a więc i stworzeniu krainy Kaszubów, a potem prowadzi widza od narodzin aż do śmierci, pokazując je przez pryzmat ludowych wierzeń i przesądów, a także obyczajów. Mamy tu zatem walkę Dobra ze Złem, mamy Stolema ścierającego się ze smokiem, diabły oraz upiory, a złe moce co chwilę ingerują w życie zwykłych ludzi, mieszając im w głowach i prowadząc na manowce, sprowadzając nieszczęścia i dramaty. Reżyser nie stroni od scen brutalnych i naturalistycznych, tak będzie ze sceną porodu czy ze sceną weseliska mocno zakrapianego trunkami i wirującego w obłędnym tańcu, czy z obrzędem ścinania kani. Oprócz narracji z offu (narrator wprowadza nas w istotę rzeczy) magię widowiska tworzą przepiękne układy choreograficzne, wysmakowane kostiumy i rekwizyty oraz muzyka, w tym śpiew *a capella*. Pojawia się tu nawiązanie do legendarnego twórcy ludowego Józefa Chełmowskiego z Brus-Jaglii, którego inspirowały anioły i świat kaszubskich wierzeń, a którego Madonny, a także inne dzieła sztuki zobaczyliśmy na chorągwiach w końcowej części



Chorągwie z malowidłami Józefa Chełmowskiego – spektakl „Kaszubski Kosmos”



Trudno się nie śmiać, gdy występuje Teatr Na Walizkach z Wrocławia

przedstawienia. Poruszająca jest dla widzów scena pożegnania zmarłego (obrzęd pustej nocy), ale też taniec z feretronami (tu zamiast świętych obrazów mamy lustra, w których każdy może się przejrzeć, czy sam jest bez winy, skoro chce rzucać kamieniem w innego), zresztą w ogóle są tu sceny dużej urody, np. igraszki z ogniem robiące klimat wieczorową porą w plenerze. Spektakl zostaje pod powieką i w pamięci, a to bardzo wiele przy tak ulotnym rodzaju sztuki, jakim jest teatr. Wielkie brawa dla twórców tego przedstawienia!

Gagi na koniec

Potem znaleźliśmy się w fosie miejskiej, by pouśmiechać się i śmiać się na spektaklu *Lèstrada* Teatru Na Walizkach. Było to czyste szaleństwo i absurdalna dawka humoru – z rozdawaniem papieru toaletowego widzom, z kontrolowaniem nieistniejących biletów wstępu, z wyciąganiem delikwentów na scenę, by wraz z nimi robić prześmieszne happeningi. Bawili nas połykacze ognia, którzy go nie połykali, i magicy z magią na bakier. Ktoś rzucał nożami, ktoś „zjadał" balony, pewna panna szukała ojca swojego dziecka, panowie chwalili się swoimi męskimi atrybutami (spokojnie, mieli listki figowe w wiadomym miejscu…), jedna z pań dzięki magicznej sztuczce pozbyła się biustonosza. Feeria zabawnych pomysłów i sytuacji, przezabawne miny i pozy rodem z filmu niemego, ale też przywołujące filmy Felliniego, sprawiły, że widownia bawiła się w najlepsze.

Warto też wspomnieć o brawurowym muzycznym zaproszeniu na Fiestę przygotowanym przez aktorów Teatru Projekt 41. – „Wbijajcie na Fiestę, będzie się działo!"

No i się działo!

ANNA MARIA ZDRENKA

XXXI Chojnicka
Noc Poetów

Chojnicka Noc Poetów to jedno z ważniejszych wydarzeń w sezonie letnim w Chojnicach już od ponad 30 lat. Przyciąga wielbicieli poezji, recytacji i muzyki. Na chojnickiej scenie występują zawsze znani aktorzy, artyści i zespoły muzyczne. Tegoroczna edycja odbyła się w sobotę 11 lipca w Amfiteatrze im. Jana Sabiniarza.



Podczas Chojnickiej Nocy Poetów Amfiteatr im. Jana Sabiniarza był wypełniony widownią



Laureaci XXXI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego Jednego Wiersza: Natalia Bielska, Bogdan Nowicki, Jakub Wasilewski i Andrzej Kotkowicz



Koncert zespołu Piramidy

XXXI Chojnicką Noc Poetów zainaugurował występ chojnickich recytatorów oraz członków Projektu 41: Mikołaja Skrzypczaka, Grzegorza Szlangi, Michała Mogi, Piotra Rutkowskiego, Martyny Wacławskiej, Darii Kwiatkowskiej i Afrodyty Michalak. Następnie odbyło się rozstrzygnięcie XXXI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego Jednego Wiersza, ogłaszanego co roku w ramach Nocy, a po nim prezentacja nagrodzonych wierszy przez autorów. Widownia zgromadzona w fosie miejskiej miała także możliwość posłuchać poezji chojnickiego poety Janusza Gierszewskiego. Wiersze z jego najnowszego tomiku *Aksjomaty serca* zaprezentowali Helena Augustyn oraz aktorzy Projektu 41: Łukasz Sajnaj, Piotr Rutkowski i Beata Czapiewska.



Aktor Artur Pontek recytował wiersze Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i Cypriana Kamila Norwida



O swojej twórczości mówił chojnicki poeta Janusz Gierszewski. Na zdjęciu także prezentujący jego wiersze recytatorzy: Helena Augustyn, Piotr Rutkowski, Łukasz Sajnaj i Beata Czapiewska

Pierwszą gwiazdą muzyczną Nocy był zespół Piramidy, który wykonał koncert piosenek „Mickiewicz, Słowacki, Norwid". W trakcie występu utwory wieszczy recytował aktor Artur Pontek. Wyjątkowym gościem wydarzenia była aktorka i reżyserka teatralna Irena Jun. Mistrzynię interpretacji udało się zaprosić do Chojnic wicedyrektorowi Chojnickiego Centrum Kultury Grzegorzowi Szlandze, który od dawna o to zabiegał. Irena Jun przypomniała poezję Bolesława Leśmiana. Na finał XXXI Chojnickiej Nocy Poetów wystąpił z recitalem kabaretowym Artur Andrus – dziennikarz, autor tekstów, pisarz i poeta.



W podziękowaniu za występ aktorce i reżyserce teatralnej Irenie Jun kwiaty wręczył wicedyrektor ChCK Grzegorz Szlanga



Artur Andrus był ostatnią gwiazdą XXXI Chojnickiej Nocy Poetów

Organizatorami wydarzenia byli: Urząd Miejski w Chojnicach, Chojnickie Centrum Kultury i Miejska Biblioteka Publiczna w Chojnicach. Imprezę prowadziła Magdalena Kosobucka.

Wyniki XXXI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego Jednego Wiersza

Na konkurs napłynęło 330 wierszy z całej Polski, a także z Niemiec, Belgii, Austrii, Szwajcarii, Holandii. Utwory oceniało jury w składzie: przewodniczący Krzysztof Skibski – profesor UAM, językoznawca z Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej UAM w Poznaniu oraz członkowie Agnieszka Kula – profesor UAM, językoznawczyni z Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej UAM w Poznaniu i Łucja Gocek – chojnicka poetka. Jury przyznało trzy równorzędne nagrody oraz dwa wyróżnienia.
Nagrody otrzymali: Bogdan Nowicki ze Świętochłowic – za wiersz *Toyen*, Weronika Stępkowska z Łodzi – za wiersz *ROZ KOSZE*, Jakub Wasilewski z Koła – za wiersz *Diament i piryt*, a wyróżnienia Natalia Bielska z Gdańska – za wiersz *Coraz szybciej* oraz Andrzej Kotkowicz z Koszalina – za wiersz *Zdjęcie z ery kredy*.
Nagrodzone oraz wyróżnione wiersze zostały opublikowane w pokonkursowym tomiku *Odblaski Nocy*, który był rozdawany podczas XXXI Chojnickiej Nocy Poetów.

Fot. ze zbiorów MBP w Chojnicach

WERONIKA SADOWSKA

Wspólne czytanie
„Dziadów" w Chojnicach

Dziady Adama Mickiewicza były lekturą tegorocznego Narodowego Czytania – ogólnopolskiej akcji, która już po raz 15. połączyła czytelników w całym kraju wokół wspólnej lektury polskiej literatury. W Chojnicach wydarzenie odbyło się w sobotę 5 września 2026 roku, a jego organizatorami, podobnie jak w poprzednich latach, były Miejska Biblioteka Publiczna w Chojnicach oraz Stowarzyszenie LekTURa.

Tegoroczne spotkanie miało początkowo odbyć się na Starym Rynku. Z powodu zapowiadanych opadów deszczu organizatorzy zdecydowali jednak o przeniesieniu wydarzenia do Czytelni MBP. Zmiana miejsca nie wpłynęła na jego charakter – biblioteczna przestrzeń stała się miejscem spotkania z jednym z najważniejszych dzieł polskiego romantyzmu.

Zebranych przywitał dyrektor MBP Przemysław Zientkowski, przypominając, że chojnicka biblioteka uczestniczy w Narodowym Czytaniu już od wielu lat. Spotkanie poprowadziła wicedyrektor MBP Weronika Sadowska, która zaprosiła publiczność do wysłuchania *Dziadów*. Zamiast wysłuchania całego utworu, uczestnicy mogli przejść przez trzy różne odsłony mickiewiczowskiego dramatu – od tajemniczego świata ludowych wierzeń, poprzez spotkanie żywych i umarłych, aż po pełen emocji i buntu monolog Konrada.

Czytanie rozpoczął wiersz *Upiór*, po którym zabrzmiała II część *Dziadów*, ukazująca obrzęd dziadów i spotkanie żywych z duchami zmarłych. Finał stanowiła *Wielka Improwizacja* z III części dramatu – jeden z najbardziej znanych i przejmujących fragmentów polskiej literatury romantycznej. Przed każdym z tekstów prowadząca przybliżała jego kontekst i znaczenie, pomagając słuchaczom odnaleźć się w wielowątkowym świecie utworu.

W tegoroczne czytanie zaangażowali się bibliotekarze, członkowie Stowarzyszenia LekTURa oraz zaproszeni goście. Wśród czytających znaleźli się: Beata i Piotr



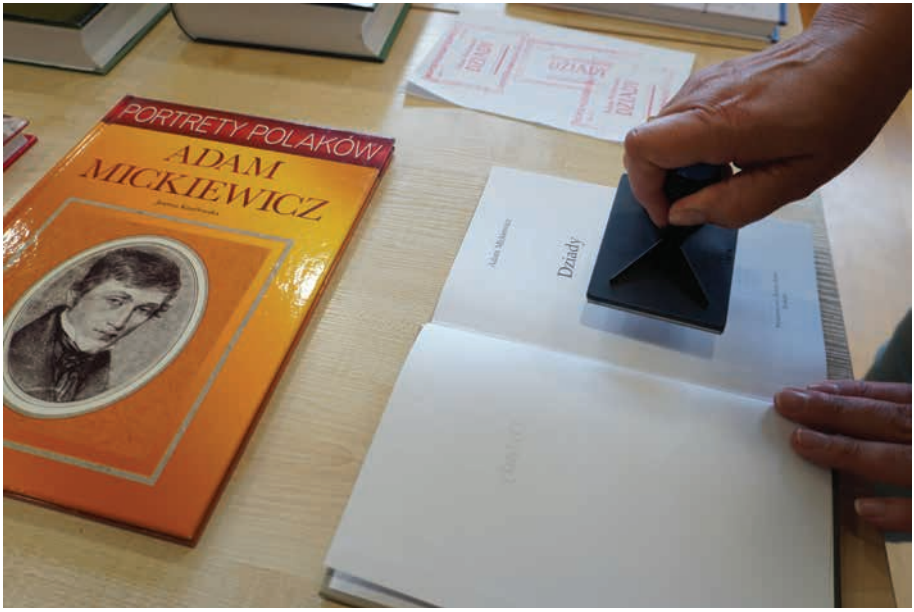
Ze względu na prognozowane opady deszczu Narodowe Czytanie odbyło się w Czytelni MBP

Czapiewscy oraz Grzegorz Szlanga związani z Projektem 41, dziennikarka Maria Eichler, Natalia Grabowska – bibliotekarka Zespołu Szkół w Chojnicach i członkini Dyskusyjnego Klubu Książki, Jan Hammerl z 34. Batalionu Radiotechnicznego, Piotr Skorupski – wicedyrektor Zespołu Szkolno-Przedszkolnego nr 3 w Chojnicach, a także dyrektor i pracownicy Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Różnorodność osób biorących udział w wydarzeniu sprawiła, że kolejne fragmenty dramatu zyskały odmienne brzmienie i emocjonalny charakter. *Upiór* wprowadził atmosferę tajemnicy i grozy, II część *Dziadów* przeniosła słuchaczy w świat dawnych obrzędów i ludowych wyobrażeń o życiu po śmierci, natomiast *Wielka Improwizacja* przyniosła gwałtowną zmianę tonu – stała się wyrazem romantycznego buntu, samotności i poszukiwania odpowiedzi na pytania dotyczące człowieka i jego odpowiedzialności.

Właśnie pytania, które mimo upływu niemal dwóch stuleci nadal pozostają aktualne, stały się punktem wyjścia do podsumowania tegorocznego spotkania. Jak zauważyła Weronika Sadowska, *Dziady* wciąż mogą być dla współczesnego czytelnika czymś więcej niż tylko ważnym zabytkiem literatury. To utwór podejmujący tematy miłości, cierpienia, wolności, odpowiedzialności i wartości, za które człowiek jest gotów zapłacić najwyższą cenę. Wspólne czytanie pozwala natomiast spojrzeć na dobrze znane dzieło z nowej perspektywy i odkryć je na nowo – poprzez głosy i interpretacje kolejnych osób.

Spotkanie miało również tradycyjną, pamiątkową oprawę. Uczestnicy otrzymali zakładki oraz kolorowanki inspirowane II częścią *Dziadów*, a osoby zaangażowane



Podczas akcji można było odcisnąć pamiątkowy stempel na własnym egzemplarzu „Dziadów”

w czytanie – pamiątkowe dyplomy i kwiaty. Nie zabrakło także charakterystycznego elementu Narodowego Czytania, czyli okolicznościowej pieczęci. Każdy, kto przyniósł własny egzemplarz *Dziadów*, mógł opatrzyć go stemplem tegorocznej edycji. Możliwość zdobycia pamiątkowej pieczęci pozostała także po zakończeniu wydarzenia – do końca września egzemplarze *Dziadów* można było przynosić do Wypożyczalni dla Dorosłych MBP w Chojnicach.

Narodowe Czytanie od 15 lat jest okazją nie tylko do przypominania najważniejszych dzieł polskiej literatury, ale również do wspólnego przeżywania literatury. Kolejna, 16. edycja akcji odbędzie się w 2027 roku, a jej lekturą będzie *Lord Jim* Josepha Conrada.

Fot. ze zbiorów MBP w Chojnicach

WIOLETTA KARPIAK

Mit ozyriański i znaczenie *ikonografii sarkofagowej*

W czwartek 16 lipca w Czytelni Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chojnicach, pomimo ponad 26 stopni Celsjusza, zgromadziło się całkiem spore grono osób zainteresowanych ponownym spotkaniem ze światowej sławy archeologiem – profesorem Andrzejem Niwińskim. Jego opowieści o starożytnym Egipcie elektryzują słuchaczy i sprawiają, że po każdym z takich wykładów pojawiają się pytania, kiedy będą następne? Tym razem egiptolog przygotował dla Chojniczan temat, który dla współczesnych odbiorców mógłby wydawać się trudny, a który dla starożytnych Egipcjan był niemalże troską dnia codziennego i wiązał się z wiarą i nadzieją na życie wieczne. Wykład nosił tytuł „Najpiękniejsze trumny świata. Religia i filozofia starożytnych Egipcjan zapisana na wieki". Przybyłych przywitała bibliotekarka Wioletta Karpiak (autorka artykułu – przyp. red.).

Andrzej Niwiński jest specjalistą w dziedzinie sarkofagów z XXI dynastii, czyli czasów przypadających na XI–X wiek przed Chrystusem, które były końcówką niepodległości Egiptu. Wszystko więc, co było przedstawiane na tych trumnach, było czysto egipską myślą, religią i filozofią.

Trumny egipskie – tłumaczył archeolog, znacznie różnią się od naszego ich pojmowania. Zdrowy człowiek zamawiał sobie już taką trumnę za życia, stawiał ją sobie w domu i chwalił się nią. Trzeba rozumieć, że była ona oznaką statusu. Trumna w tej chwili kojarzy się ze smutkiem, ale w Egipcie był to obiekt sztuki, który często wykonywano na wymiar. Sarkofagi posiadały ogromnie wiele głębokich myśli religijnych, filozoficznych. Wiele z nich miało szczegółowo wykonane detale. Każdy kawałek powierzchni był dekorowany, a każde przedstawienie było ważne z ideologicznego punktu widzenia. Posiadały one ogromną ilość symboli. Dekoracje miały budzić optymizm. Jak wierzyli starożytni Egipcjanie, odejście z tego świata jest tylko przejściem, a koniec jest nowym początkiem. Wszystko to dawało nadzieję życia wiecznego.

Egiptolog z pasją tłumaczył, z jakich elementów składały się poszczególne części sarkofagów, a także to, że ich detale różniły się w wykonaniu pod względem płci.



Zasłuchani w słowa prof. Andrzeja Niwińskiego

Szczegóły takie, jak rodzaj wymalowanej peruki, ułożenie dłoni, widoczność uszu czy zdobienia nad czołem wyraźnie świadczyły o tym, czy trumna należała do kobiety, czy mężczyzny. Złote pokrycie i kunszt wykonania mówiły natomiast o majętności jej właściciela i jego statusie społecznym.

Dekoracje różniły się też w zależności od tego, czy była to górna, czy dolna część sarkofagu. Na trumnach odnajdujemy także egipskie zwyczaje pogrzebowe (przedstawienia od mumifikacji, po odprowadzanie zwłok do ich miejsca wiecznego spoczynku). Pogrzebom towarzyszyła muzyka, wśród żałobników były płaczki (okazujące smutek, rozpacz, tragedię), a także osoby niosące rośliny i naczynia z wodą. Rośliny były później sadzone przy grobie zmarłego. Kapłan recytował teksty pogrzebowe.

Jak zaznaczał Andrzej Niwiński, sarkofagi mogły też zostać wielokrotnie użyte, co w słuchaczach wzbudziło lekką konsternację. Jednak wyjaśnienie, że posiadanie sarkofagu po przodkach dodawało pewnej nobilitacji, wydało się wszystkim całkiem niezłym powodem do tego typu praktyki. Tym bardziej, że suche, pustynne warunki sprawiały, że sarkofagi były przez stulecia (a nawet tysiąclecia), zachowane w znakomitym stanie.

Wykład uzupełniany był fotografiami i szkicami przedstawiającymi detale z tych najpiękniejszych trumien świata. Profesor, jak sam podkreślił, bada je od ponad 50 lat. Andrzej Niwiński szczegółowo omówił także jeden z ważniejszych, leżących u podstaw wierzeń religijnych starożytnych Egipcjan mitów, tzw. mit ozyriański. Jest on

kluczowy, jeśli chce się zrozumieć symbolikę wierzeń i bogactwo rytuałów. Oczywiście nie obyło się także bez poruszenia koncepcji Maat, która dla starożytnych wiązała się z prawem bożym – „Myśl Maat, mów Maat". Egipcjanie wierzyli, że wszystkie uczynki, dzieła człowieka zapisywane są w sercu. Po śmierci, w Sali Dwóch Prawd, ważono więc serce człowieka. Na szalach wagi z jednej strony kładziono serce zmarłego, a po drugiej stronie pióro bogini Maat. Jeśli serce było lekkie, dusza trafiała do raju. Jeśli jednak szala przechylała się, gdyż serce było ciężkie od grzechów – zmarły trafiał przed oblicze tzw. pożeraczki. Kolejnym punktem rozważań była koncepcja powstania świata oraz kształtu wszechświata. Słuchacze z zapartym tchem i w pełnym skupieniu wysłuchali tej pasjonującej drogi człowieka do jego życia wiecznego.

Po wykładzie przewidziany został czas na pytania publiczności, na które archeolog z pełnym zaangażowaniem odpowiadał. A pojawiły się naprawdę ciekawe kwestie dotyczące m.in. sarkofagów z okresu amarneńskiego, o wpływ nowych technologii na współczesne badania archeologiczne oraz czy AI może w jakiś sposób dopomóc badaczom. Przybyłych interesowało także, na jakim etapie są obecne badania naukowe profesora w Deir el-Bahari.

W podziękowaniu za wykład Wioletta Karpiak przekazała na ręce egiptologa prezent nawiązujący do obchodów 80-lecia istnienia Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chojnicach, a symbol nieskończoności użyty na siatce zawierającej podarek przyciągnął uwagę profesora i pociągnął za sobą całkiem słuszne rozważania, że biblioteka



Wioletta Karpiak wręcza profesorowi jubileuszową siatkę w podziękowaniu za wykład



Wyczekany czas na autografy

zamierza właśnie tak długo trwać. Na sam koniec był także czas na zakup książek i ustawienie się w kolejce po autografy oraz wspólne zdjęcia z naukowcem.

Cieszymy się, że po raz kolejny wykład profesora zgromadził w chojnickiej bibliotece pasjonatów historii nie tylko z Chojnic i najbliższej okolicy, ale i osoby przyjezdne, m.in. z Bydgoszczy, Warszawy oraz Płużnicy.

Profesor Andrzej Niwiński jest obecnie wykładowcą na uniwersytecie w Szanghaju, więc tym bardziej cieszymy się, że znalazł czas, żeby przyjechać na kolejny wykład. Miejska Biblioteka Publiczna w Chojnicach posiada w swoich zbiorach książki profesora Andrzeja Niwińskiego. Zachęcamy do zapoznania się z nimi. Natomiast tych, którym szczególnie przypadł do gustu temat sarkofagów XXI dynastii, odsyłamy do tworzonej przez naukowca bazy: coffinsiconography.archeologia.uw.edu.pl., która jest unikatowa na skalę światową.

Fot. ze zbiorów MBP w Chojnicach

MARIA CZAPLEWSKA-RUDNIK

Medale Janusza Jutrzenki *Trzebiatowskiego w chojnickim muzeum*

Wernisaż nowej wystawy odbył się 14 września w Muzeum Historyczno-Etnograficznym im. J. Rydzkowskiego w Chojnicach. Tym razem na ekspozycji zaaranżowanej na parterze Baszty Kurza Stopa, w której mieści się Galeria Współczesnej Sztuki Polskiej, możemy podziwiać medale stworzone przez Janusza Jutrzenkę Trzebiatowskiego.

O artyście słów kilka

Janusz Jutrzenka Trzebiatowski, urodzony w Chojnicach, a przez lata mieszkający i tworzący w Krakowie, jest artystą dobrze znanym Chojniczanom. Jak słusznie zauważa Krzysztof Kuliś, pisząc w 2001 roku *Próbę rysopisu artysty*, znakiem szczególnym tego wyjątkowego twórcy jest „nadutalentowalność". Chojniczanin, przedstawiciel krakowskiej bohemy artystycznej, uprawia różne dyscypliny artystyczne – od malarstwa, nierzadko osiągającego pokaźne rozmiary, poprzez rysunek, plakat, rzeźbę, medalierstwo, aż po niewielkie formy rzeźbiarskie, takie jak odznaki. Ma za sobą również projekty architektoniczne i scenograficzne, pisze poezję oraz jest wszechstronnym kolekcjonerem. W swoim życiu odbył ogromną liczbę podróży, z których przywoził liczne pamiątki urozmaicające jego kolekcję. Jego prace znajdują się w kolekcjach 113 muzeów





w Polsce i za granicą, zaś za całokształt twórczości był wielokrotnie nagradzany, między innymi takimi ważnymi nagrodami, jak: Krzyże Kawalerski i Oficerski Orderu Polonia Restituta czy Złoty Medal Gloria Artis.

Medale

Jedną ze wspomnianych już technik plastycznych uprawianych przez Janusza Trzebiatowskiego jest medalierstwo, zapoczątkowane w jego twórczości przez małe formy, jakimi są odznaki. Medale, które możemy podziwiać w muzeum w Chojnicach, stanowczo wymykają się wyobrażeniom przeciętnego człowieka na temat tej dziedziny sztuki. Niektóre z nich mają bardziej oczywisty okrągły kształt, lecz nieregularną powierzchnię, inne są oszczędne w formie, wykorzystujące prosty symboliczny geometryzm. Zaskakują nas nie tylko tym, lecz również materiałem, z którego je wykonano. Trzebiatowski nie ogranicza się tutaj do metali: brązu czy mosiądzu, lecz eksperymentuje z plexi, szkłem, granitem, złotem galwanicznym. W jego pracach widać poszukiwania artysty, udowadniającego, że medalierstwo może być ekspresyjne i przekazujące odbiorcy szereg odczuć i emocji. Patrząc na eksponowane medale, jak słusznie zauważył podczas wernisażu Marcin Synak, dyrektor muzeum, możemy poczuć majestat gór, siłę żywiołu, dynamikę ruchu czy piękno gotyckiej architektury. Na ekspozycji w Baszcie Kurza Stopa zostało udostępnionych łącznie 58 medali, będących zbiorem powstałym w przeciągu ostatnich 50 lat. Są wśród nich między innymi elementy cyklów: „Przestrzeń", „Medale czystej formy", „Kwadrat", „Tatry" czy

„Katedry" oraz inne egzemplarze, na przykład „Medal jest przestrzenią/powietrzem" czy „25 lat Bazyliki Mniejszej w Chojnicach".

W chojnickim muzeum

Prawie 50 gości odwiedziło Basztę Kurza Stopa na wernisażu nowej wystawy Janusza Jutrzenki Trzebiatowskiego pt. „Medalierstwo. Janusz Trzebiatowski" , która była częścią XVII Dni Sztuki. Wśród obecnych byli między innymi przedstawiciele władz miejskich – burmistrz Arseniusz Finster oraz dyrektor generalny UM Robert Wajlonis, dyrektor Chojnickiego Centrum Kultury Radosław Krajewicz, radny miejski Bogdan Kuffel, dyrektor Filharmonii Kaszubskiej Wejherowskiego Centrum Kultury Jolanta Rożyńska, wieloletnia kierownik Muzeum Medalierstwa przy Muzeum Miejskim Wrocławia Barbara Kozarska-Orzeszek, prof. Krzysztof Gliszczyński z ASP w Gdańsku. Podczas wydarzenia dyrektor Marcin Synak odstąpił od zwyczaju wyczerpującego przedstawiania artysty, w zamian, jak to określił, nawiązując do jednego z cyklów numizmatycznych artysty, przedstawił jego artystyczny biogram czystej formy. Głos zabrali również Barbara Kozarska-Orzeszek, Arseniusz Finster i Bogdan Kuffel.

Janusz Trzebiatowski, przemawiając, podkreślił swoje przywiązanie do Chojnic, mówiąc o tym, że jego wizyty w mieście są czymś niesamowicie ważnym, jest to bowiem powrót do domu. Jak podkreślił, nie wypada składać wizyty z pustymi rękoma, z tej okazji podarował więc Muzeum Historyczno-Etnograficznemu, reprezentującemu w tym wypadku społeczność Chojniczan, kolekcję medali znajdujących







się na wystawie, wraz z 17 innymi, łącznie stanowiącymi zbiór 75 obiektów. Podczas wizyty uhonorował również medalem Krzysztofa Gliszczyńskiego – jednego z darczyńców Galerii Współczesnej Sztuki Polskiej. Wernisaż zakończono w mniej formalnym tonie, poczęstunkiem, który muzeum przygotowało na piętrze Baszty Kurza Stopa.

Wystawa „Medalierstwo. Janusz Trzebiatowski" jest dostępna do zwiedzania w godzinach otwarcia muzeum przez prawie dwa miesiące – do 10 listopada.

Fot. Marta Potulska

MARLENA PAWLAK

Rzeźba w przestrzeni miejskiej *w Chojnicach*

Rzeźba w przestrzeni miejskiej Chojnic to sztuka współczesna wchodząca w bezpośredni dialog z historyczną tkanką miasta. Kolejna odsłona tego przedsięwzięcia podsumowuje już kilka lat obecności nowoczesnych form w samym sercu Chojnic. Pomysł zrodził się z potrzeby ożywienia zabytkowego centrum i stworzenia sytuacji, w której sztuka opuszcza mury galerii, by stać się naturalnym elementem codziennego życia mieszkańców.



Rzeźby prof. Tomasza Sobisza z cyklu „Warrior"

Jako Miejski Konserwator Zabytków, wspólnie z Architektem Miejskim Andrzejem Ciemińskim, od początku traktuję tę inicjatywę jako próbę zderzenia dziedzictwa ze współczesnością. Stary Rynek, otoczony historyczną architekturą, staje się miejscem spotkania różnych epok, form oraz odmiennych sposobów patrzenia na sztukę.

Pierwsza edycja

Inauguracyjna odsłona projektu, która odbyła się 8 maja 2023 roku, była związana z twórczością prof. Tomasza Sobisza. Zaprezentowane na Starym Rynku rzeźby z cyklu „Warrior" wprowadziły do historycznego otoczenia mocne, współczesne formy i zapoczątkowały cykl, który na stałe się wpisał w kulturalny krajobraz miasta. Ekspozycja stanowiła artystyczną i rzeźbiarską metaforę wojowników z różnych epok, opowiadającą o świecie, w którym walka nigdy się nie kończy. Całość projektu była podróżą po różnych warstwach czasowych – od czasów hellenistycznych i rzymskich, przez okres średniowiecza, aż po współczesność.

Druga edycja

W 2024 roku ponownie zaprosiliśmy mieszkańców do spotkania ze sztuką na Starym Rynku. Tym razem zaprezentowana została rzeźba Julii Mazur, studentki Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku, przedstawiająca galopujące konie. Dynamiczna forma i ekspresyjny ruch figur stworzyły interesujący kontrast z zabytkową zabudową placu.



Rzeźba „Galopujące konie" Julii Mazur

Trzecia edycja

W 2025 roku przedsięwzięcie przybrało jeszcze szerszą formułę. Wystawa „Wings of Heroes" połączyła prace prof. Tomasza Sobisza i dr. Mariusza Burdka, artystów związanych z Akademią Sztuk Pięknych w Gdańsku. Motyw skrzydeł, obecny w kulturze od czasów antycznych, stał się punktem wyjścia do refleksji nad wolnością, ambicją, marzeniami oraz ludzką siłą. W tytułowym znaczeniu „Wings of Heroes" („Skrzydła bohaterów") to zestaw metaforycznych cech, które pozwalają współczesnemu człowiekowi pokonywać codzienne trudności oraz rozwijać odwagę, determinację, wytrwałość i kreatywność. W wielu kulturach skrzydła symbolizują nadzieję, wiarę, życie i zwycięstwo. Projekt nawiązywał również do bogatej symboliki militarnej, zauważalnej w skrzydłach husarii czy emblematach sił powietrznych na całym świecie.



Wystawa „Wings of Heroes" prezentująca rzeźby prof. Tomasza Sobisza i dr. Mariusza Burdka

Czwarta edycja

W tym roku na Starym Rynku pojawiła się monumentalna „Kobyła" autorstwa Julii Mazur. To praca wykonana z betonu, łącząca technikę narzutu i odlewu. Artystka ukazuje konia w momencie surrealistycznej transformacji – pomiędzy rozpoznawalną, realną anatomią a formą niemal organiczną i fantastyczną. Ciało konia zostaje poddane mutacji i przeniknięte przez znajdującego się na grzbiecie pasożyta, który przekształca je w rozrastające się odnóża, będące elementami innego organizmu. „Kobyła" to niezwykle ekspresyjna, pełna dynamiki kompozycja balansująca pomiędzy tym, co realne i wyobrażone. Znana sylwetka zwierzęcia, uchwycona w momencie przeobrażania, tworzy niepokojącą, ale jednocześnie fascynującą hybrydę. Surowa faktura betonowej powierzchni dodatkowo podkreśla ten proces i nadaje dziełu charakter pierwotnej, organicznej materii.

Czwarta edycja akcji „Rzeźba w przestrzeni miejskiej" dowodzi, że inicjatywa stale się rozwija wraz z kolejnymi twórcami i ich indywidualnym językiem ekspresji. Każda realizacja jest inna, każda wywołuje odmienne emocje i pozwala spojrzeć na dobrze znane otoczenie z zupełnie nowej perspektywy.



Rzeźba Julii Mazur „Kobyła”

Sztuka i zabytkowe otoczenie

Najważniejszą ideą tego formatu jest dla mnie dialog współczesnych obiektów z historycznym miastem. Obecność rzeźb na Starym Rynku nie ma konkurować z dawną architekturą, tylko ją uwidocznić, wydobyć jej unikalny charakter i skłonić mieszkańców do świeżego spojrzenia na tę przestrzeń. Dzieła ustawione w miejscu publicznym przestają być obiektami zarezerwowanymi wyłącznie dla osób odwiedzających galerie. Spotykamy je podczas spaceru, zakupów czy w drodze do pracy. Możemy je obejść, zatrzymać się przy nich lub po prostu minąć w pośpiechu. To właśnie ta bezpośredniość stanowi największą wartość całego przedsięwzięcia.

Dotychczasowe cztery edycje pokazują, że Chojnice są otwarte na sztukę współczesną, a tradycja i nowoczesność mogą tworzyć inspirujący, wzajemnie uzupełniający się dwugłos. Mam nadzieję, że kolejne lata pozwolą nam nadal zapraszać do Chojnic wybitnych artystów, a mieszkańcom i gościom dadzą możliwość obcowania ze sztuką w jej najbardziej naturalnym otoczeniu – w przestrzeni, która należy do nas wszystkich.

Marlena Pawlak jest Konserwatorem Zabytków Miasta Chojnice

MARIA EICHLER

Hope Singers
w Szkole Muzycznej

Chór The Hope Singers ze Stanów Zjednoczonych wystąpił 26 lipca w Szkole Muzycznej w Chojnicach. Zaproszony przez chojnicki kościół baptystów zespół zrobił furorę.

Trzydziestoosobowy chór pod wodzą dyrygenta Ivana Godoya – soprany, alty, tenory i basy – co dwa lata bywa w naszym kraju, a organizatorem koncertów jest Fundacja Dziedzictwo z Mińska Mazowieckiego. Chórzyści, cali w czerni, panie



Chór The Hope Singers na pewno zostanie w pamięci słuchaczy

z białymi lub czarnymi chustkami na głowach, sięgali do zapisów nutowych nie tylko na papierze, część korzystała z tabletów. To ludzie w różnym wieku, a tylko jedno nazwisko brzmi znajomo – Adam Szczepanik. To on tłumaczył powitanie zebranych przez dyrygenta Godoya.

Co chór ma w repertuarze? Są to zarówno utwory klasyczne, jak i religijne pieśni – nie tylko z jednego kręgu kulturowego, ale też utwory negro/spirituals. Nowinką tegorocznego zestawu koncertowego są pieśni Pawła Bębenka, Alexandra Gretchaninofa i Williama Billingsa. Chór śpiewa je w różnych językach – od łacińskiego i angielskiego do polskiego włącznie! Wszystkie wykonane tak, że budziły żywą reakcję słuchaczy, a u niektórych nawet łzy. Brawa nie mogły więc być zdawkowe. I nie mogło zabraknąć bisu po owacji na stojąco!

Za udział w koncercie dziękował pastor Bartłomiej Kłopotek-Główczewski, a ponieważ muzyka sprzyja religijnym doznaniom, to kilkoma słowami przemówił do obecnych pastor Henryk Skrzypkowski, skupiając się na interpretacji jednego z fragmentów Biblii i zachęcając najpierw do intelektualnego poznania Chrystusa, by potem za nim podążać.

Po koncercie można było nabyć płyty zespołu i uścisnąć ręce śpiewakom. Ten niecodzienny koncert na pewno zostanie w pamięci tych, którzy na nim byli. Mile widziane będzie kolejne spotkanie z chórem The Hope Singers.

WIOLETTA KARPIAK

Zakończenie wakacji

z uważnością i wdzięcznością

W niedzielę 30 sierpnia odbył się spacer z wolontariuszami Samorządnego Centrum Młodzieżowego w Chojnicach, zorganizowany w ramach projektu „Chodź do lasu – praktyczna edukacja w zakresie higieny psychicznej". Wydarzenie było bezpłatne, a pierwszeństwo zgłoszeń mieli uczniowie szkół ponadpodstawowych oraz studenci.

Osoby, które zgłosiły chęć uczestnictwa w spacerze, mogły pojawić się o godz. 11.00 na przystanku Towarowa–Dworzec w Chojnicach lub dołączyć w Funce.



Grupa nad jeziorem Wielkie Gacno



Michał Januszewski opowiada o wdzięczności i uważności

Stamtąd w asyście przewodnika terenowego po Parku Narodowym „Bory Tucholskie", którym była Wioletta Karpiak (autorka artykułu – przyp. red.), oraz Michała Januszewskiego, który miał za zadanie zadbać o naukę wdzięczności, grupa udała się w kierunku jeziora Wielkie Gacno. Michał Januszewski to student szkoły psychoterapii Instytutu Integralnej Psychoterapii Gestalt w Krakowie, wolontariusz Jugend- und Kulturzentrum Spirale w Berlinie, a obecnie także Fundacji Rozwoju Ziemi Chojnickiej i Człuchowskiej. I tak, spacerując wytyczonymi ścieżkami, Michał opowiadał o praktyce wdzięczności, wyczulając obecnych na dostrzeganie drobnych i przyjemnych rzeczy, które nadają życiu sens. Co chwilę robiono przerwy na rozmowy, ćwiczenia bycia tu i teraz oraz refleksję. Każdy mógł czerpać ze spaceru tę część, która akurat była mu potrzebna.

Spragnionym wiedzy o florze i faunie Parku Narodowego „Bory Tucholskie" Wioletta Karpiak udzielała informacji i dzieliła się ciekawostkami przyrodniczymi. Był czas na porozmawianie o nietoperzach, żmijach, na poszukiwanie rosiczek, grzybów i mrówek. Atrakcją na ścieżce okazał się padalec, który wywołał ogromne zainteresowanie. Natomiast spragnionym wyciszenia, powodów do zachwytów i wdzięczności, Michał udzielał swego wsparcia.

Po przejściu zaplanowanej trasy, wszyscy udali się w stronę ośrodka Mikomania, w którym przewidziany był obiad oraz przerwa kawowa. Całość zakończyła się o godz. 15.30, kiedy to na chętnych oczekiwał autokar mający odwieźć uczestników z powrotem do Chojnic. Wnioskując po nastrojach, spacer był udany. Była to okazja do zapoznania się z nowymi osobami, poznania niezwykłych walorów okolicznych terenów oraz do znajdowania małych i dużych powodów do zachwytów.

Wydarzenie zostało zorganizowane przez Fundację Rozwoju Ziemi Chojnickiej i Człuchowskiej w ramach projektu „Chodź do lasu – praktyczna edukacja w zakresie higieny psychicznej", współfinansowanego ze środków Powiatu Chojnickiego. Było to drugie spotkanie w ramach tego przedsięwzięcia. Wcześniejszy, wiosenny spacer na Grodzisko Wolność poprowadziła w maju bieżącego roku psychotraumatolog Magdalena Stolp.



Chwila refleksji

Fot. ze zbiorów FRZChiCz

Trzy pytania do… Adama Krausego, *dyrektora CNT w Chojnicach*

1. Ze szkołą, którą Pan kieruje, jest Pan związany od 42 lat. Najpierw jako uczeń, potem nauczyciel, wicedyrektor i dyrektor. Jak ocenia Pan miejsce oraz rolę szkoły w lokalnym i regionalnym środowisku w przeszłości i w ostatnich latach – już w strukturach Centrum Nauk Technicznych?

42 lata to bardzo długo. Właściwie można powiedzieć, że szkoła towarzyszy mi przez większą część mojego życia. Najpierw byłem jej uczniem, później nauczycielem,



wicedyrektorem, a dziś mam zaszczyt nią kierować. Dlatego patrzę na nią nie tylko jak na miejsce pracy, ale również jak na bardzo ważną część własnej historii. Przez te lata szkoła ogromnie się zmieniła. Zmieniały się kolejne pokolenia uczniów, nauczycieli, programy, technologie i oczekiwania wobec edukacji. Zmieniało się również nasze lokalne środowisko. Ale jedno pozostało niezmienne – szkoła była i jest potrzebna.

Jej rola zawsze wykraczała poza samo kształcenie. Chcemy przygotowywać młodych ludzi do dalszej edukacji i pracy, ale również do dorosłego życia, odpowiedzialności i funkcjonowania w społeczności. I właśnie dlatego szkoła powinna być blisko ludzi i odpowiadać na realne potrzeby swojego środowiska. Wejście w struktury CNT było kolejnym ważnym rozdziałem. Dało nam nowe możliwości rozwoju, dostęp do szerszych doświadczeń i pozwoliło spojrzeć na nasze zadania z regionalnej perspektywy. Jednocześnie zależało nam, aby zachować to, co przez lata zbudowało markę i tożsamość szkoły.

Po 42 latach najbardziej cieszy mnie jednak coś innego – spotkania z absolwentami. Kiedy po latach wracają i mówią, że dobrze wspominają szkołę, że czegoś się tutaj nauczyli, że pomogła im w życiu, wtedy człowiek ma poczucie, że ta praca naprawdę ma sens. Dlatego o naszej szkole myślę przede wszystkim jako o miejscu z historią, ale jednocześnie patrzącym w przyszłość. I bardzo chciałbym, żeby tak było również przez kolejne dziesięciolecia.

2. Co było, w Pana opinii, najmocniejszą stroną technikum, którego Pan był uczniem w latach 1984–1989?

Myślę, że najmocniejszą stroną tamtego technikum byli przede wszystkim ludzie – nauczyciele, którzy potrafili nie tylko przekazywać wiedzę, ale również wymagać, motywować i przygotowywać nas do dorosłego życia. Z dzisiejszej perspektywy jeszcze bardziej doceniam to, czego wtedy może nie zawsze byliśmy świadomi. Byli to nauczyciele z dużym doświadczeniem i autorytetem. Wymagali od nas solidności, odpowiedzialności i systematyczności. Nie wszystko przychodziło łatwo i z pewnością nie zawsze byliśmy zadowoleni z ich wymagań, ale po latach widzę, że właśnie dzięki temu nauczyliśmy się podejmować wyzwania i nie rezygnować, kiedy pojawiały się trudności. Bardzo ważne było również to, że technikum łączyło teorię z praktyką. Jako młodzi ludzie mieliśmy możliwość nie tylko zdobywać wiedzę, ale również zobaczyć, jak można ją wykorzystać w praktyce. To dawało nam konkretne przygotowanie do zawodu, ale też uczyło samodzielności i odpowiedzialności za swoją pracę.

Pamiętam również bardzo silną więź między uczniami. Byliśmy grupą ludzi, którzy spędzali ze sobą bardzo dużo czasu – nie tylko na lekcjach, ale również podczas praktyk, różnych szkolnych wydarzeń czy wyjazdów. To budowało relacje, które w wielu przypadkach przetrwały do dziś. Szkoła była więc nie tylko miejscem nauki,

ale również miejscem, w którym dorastaliśmy. Z dzisiejszej perspektywy powiedziałbym, że tamto technikum miało jeszcze jedną bardzo ważną cechę – uczyło nas życia bez nadmiernego wyręczania. Oczywiście czasy były inne, inne były możliwości i wymagania, ale młody człowiek musiał nauczyć się radzić sobie z problemami, organizować swoją pracę i ponosić konsekwencje własnych decyzji.

Jako dyrektor po latach często wracam myślami do tamtego okresu. I chyba właśnie doświadczenia wyniesione ze szkoły miały wpływ na to, jak później patrzyłem na rolę nauczyciela i dyrektora. Zrozumiałem, że dobra placówka edukacyjna powinna nie tylko nauczyć konkretnego zawodu czy przedmiotu. Powinna również wyposażyć młodego człowieka w cechy i umiejętności, które pozostaną z nim długo po opuszczeniu jej murów. Dlatego, gdybym miał jednym zdaniem powiedzieć, co było największą siłą tamtego technikum, powiedziałbym: potrafiło wymagać, ale jednocześnie przygotowywało nas do samodzielnego życia. I myślę, że właśnie to jest jedna z tych wartości, które nie tracą znaczenia mimo upływu kolejnych dziesięcioleci.

3. 12 września odbył się Zjazd Absolwentów Technikum nr 1. Które wydarzenia uroczystości najbardziej zapisały się Panu w pamięci? Które były najtrudniejsze do realizacji?

Zjazd Absolwentów Technikum nr 1 był dla mnie wydarzeniem szczególnym z co najmniej dwóch powodów. Z jednej strony uczestniczyłem w nim jako dyrektor szkoły i osoba odpowiedzialna za jego organizację, z drugiej – wróciłem do niej jako absolwent sprzed wielu lat. To połączenie dwóch perspektyw sprawiło, że przeżywałem ten dzień trochę inaczej niż pozostali uczestnicy. Najbardziej zapisały mi się w pamięci oczywiście spotkania z absolwentami. Szczególnie te momenty, kiedy po wielu, czasem kilkudziesięciu latach ludzie przekraczali próg szkoły i po kilku chwilach znów byli przede wszystkim kolegami i koleżankami z jednej klasy. Niezwykłe było obserwowanie, jak szybko wracają wspomnienia – pojawiają się nazwiska nauczycieli, historie z czasów szkolnych, anegdoty, sytuacje, o których pamięta się mimo upływu lat. Bardzo ważnym momentem było dla mnie również spotkanie w murach szkoły. Możliwość oprowadzenia absolwentów po miejscach, które pamiętają z czasów swojej młodości, a jednocześnie pokazania im, jak szkoła wygląda i funkcjonuje dzisiaj, miała szczególny wymiar. W takich chwilach szczególnie mocno widać ciągłość – szkoła się zmienia, ale pamięć o niej pozostaje.

W pamięci pozostaną mi także rozmowy z absolwentami, którzy po latach wracali do swoich nauczycieli, kolegów i wspólnych doświadczeń. Dla mnie, jako dyrektora, było to bardzo cenne, bo pokazało, że szkoła nie kończy swojej roli w momencie, kiedy uczeń odbiera świadectwo. Relacja ze szkołą i ludźmi, których się w niej spotkało, może pozostać na całe życie. Jeśli chodzi o najtrudniejsze elementy, to oczywiście sama organizacja tak dużego wydarzenia była nie lada wyzwaniem. Zjazd wymagał wielu miesięcy przygotowań, kontaktów z absolwentami, gromadzenia informacji,

ustalania programu i koordynowania wielu szczegółów. Przy takiej liczbie osób zawsze pojawiają się sytuacje, których wcześniej nie da się przewidzieć.

Największym wyzwaniem było chyba jednak stworzenie takiego programu, żeby każdy – niezależnie od rocznika, wieku czy własnych oczekiwań – znalazł w tym dniu coś dla siebie. Zjazd absolwentów to przecież nie tylko uroczystość. To przede wszystkim spotkanie ludzi i ich wspomnień. Dlatego zależało nam, żeby pozostawić przestrzeń zarówno na oficjalne wydarzenia, jak i na zwykłe rozmowy, wspomnienia i bycie razem. Dzisiaj, kiedy patrzę na ten zjazd już z pewnego dystansu, myślę, że najbardziej wartościowe były te chwile, których nie dało się zaplanować. Uśmiech dwóch osób, które rozpoznały się po latach. Niespodziewane wspomnienie. Rozmowa absolwenta z dawnym nauczycielem. Zdjęcie wykonane po kilkudziesięciu latach w tym samym miejscu.

I chyba właśnie dlatego warto było podjąć trud organizacji tego wydarzenia. Bo zjazd można zaplanować, przygotować program i harmonogram, ale emocji, które pojawiają się podczas takich spotkań, nie da się zaprogramować. One po prostu się pojawiają – i pozostają na długo.

Pytania zadawał: Kazimierz Jaruszewski
Fot. ze zbiorów Adama Krause

KRONIKA WYDARZEŃ

LIPIEC

3–4 Pięć spektakli można było obejrzeć podczas XXXII Festiwalu Sztuki Ulicznej im. Eugeniusza Mikołajczyka.

5 Na inaugurację XIII Letnich Koncertów Organowych w kościele gimnazjalnym wystąpili Patryk Podwojski – organista oraz Aleksandra Podwojska – mezzosopran.

11 Chojniczanie pojechali do Gdyni na XXVII Światowy Zjazd Kaszubów.
Gwiazdami XXXI Chojnickiej Nocy Poetów byli m.in. Irena Jun oraz Artur Andrus.

12 W wieku 87 lat zmarł Jerzy Dończyk, trener pięściarzy, legenda chojnickiego boksu.

15 Ogłoszony przez Urząd Miejski przetarg na administrowanie i utrzymanie cmentarza komunalnego wygrał dotychczasowy zarządca – Zakład Pogrzebowy Tadeusza Porożyńskiego.

16 Archeolog prof. Andrzej Niwiński wygłosił w MBP kolejny wykład, tym razem zatytułowany „Najpiękniejsze trumny świata".

19 W Chojnickim Centrum Kultury zakończyła się wystawa malarstwa Teresy Chomik-Kazarian.
Zespół Big Band Chojnice zagrał koncert w Amfiteatrze im. Jana Sabiniarza.
Flaga z napisem Chojnice widoczna podczas finału Mistrzostw Świata w USA, w meczu Argentyna–Hiszpania, wywołała dużo emocji. Po poszukiwaniach kibica okazało się, że był nim Artur Męcikalski.

20–21 Pasażerowie MZK mogli dwukrotnie wziąć udział w spektaklu teatralnym *Drogi. Spektakl w autobusie*, przygotowanym przez Fundację Art Connections.

21 Na podsumowanie czerwcowej ogólnopolskiej akcji „Aktywne Miasta" nagrody od władz miasta otrzymali rowerzyści z Chojnic, którzy przejechali najwięcej kilometrów.

23 MKS Chojniczanka zaprezentowała w fosie miejskiej swoje zespoły i sekcje Akademii Chojniczanki, w tym piłkarzy pierwszego zespołu.

25 W ChCK otwarta została wystawa malarstwa 11 uczestniczek warsztatów w pracowni plastycznej, prowadzonych przez Elżbietę Jakubowską.

26 Z inicjatywy chojnickiego kościoła baptystów w Państwowej Szkole Muzycznej I stopnia im. Feliksa Nowowiejskiego wystąpił chór The Hope Singers z USA.
W fosie miejskiej zabrzmiała muzyka reggae w wykonaniu lokalnego zespół Layo oraz Reggaeside z Nowego Miasta Lubawskiego.

28 W wieku 62 lat zmarła Hanna Jednoralska – podróżniczka, emerytowana nauczycielka Centrum Nauk Technicznych w Chojnicach.

31 Grupa chojnicka wyruszyła w 35. Pieszą Pielgrzymkę Diecezji Pelplińskiej na Jasną Górę.

SIERPIEŃ

1 Harcerze i przedstawiciele władz miasta uczcili w Dolinie Śmierci rocznicę wybuchu powstania warszawskiego.
Święto Powiatu Chojnickiego odbyło się w Wojtalu. Wystąpili: Stashka, Mesajah i Justyna Steczkowska. Podczas wydarzenia firma Urbaniak Inwestycje obchodziła 35-lecie działalności.

2 W ramach XIII Letnich Koncertów Organowych w kościele gimnazjalnym na organach zagrał Tomasz Orlow, profesor Akademii Muzycznej im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy, a 30.08 Roman Perucki – organista Archikatedry w Gdańsku-Oliwie.

8 W programie Targów Rodzinnych Baby Boom, które odbyły się w hali Centrum Parku, przewidziano animacje dla rodzin, spotkania ze specjalistami, giełdę dla mam oraz kącik czytelniczy.

9 Red Devils Ladies Chojnice wywalczyły tytuł Mistrzyń Polski w Beach Soccer na Stadionie Letnim Gdańsk. Mistrzostwo zdobyły po raz trzeci, a drugi raz z rzędu.

15–16 XIV Chojnickie Noce Operetkowe z występem Orkiestry Symfoników Bydgoskich pod batutą Marka Czekały przyciągnęły liczną publiczność do Amfiteatru im. Jana Sabiniarza.

20 Zakończyły się prace przy malowaniu i renowacji tynkowanych, polichromowanych ścian we wnętrzu bazyliki mniejszej.

21 W fosie miejskiej odbyła się kolejna edycja koncertu „Siła lokalności", promującego lokalnych artystów, transmitowanego przez Weekend FM – współorganizatora wydarzenia wraz z ChCK.

27 W ChCK otwarta została wystawa fotograficzna gdańskiego fotografa Zbigniewa Czerwińskiego „Struny/Echo".
Dwa pokazy spektaklu *Kto zabił w Konitzville*, na podstawie powieści *Konitzville* Rafała Matusza i Artura Grysiaka, w wykonaniu Teatru Gdynia Główna, odbyły się w ChCK.

27–28 Teatr Gdynia Główna w ramach projektu „Teatr zajechał" pokazał w Parku Tysiąclecia przedstawienie dla dzieci *Nie płacz i nie ucz się płakać* na motywach *Klechd sezamowych* Bolesława Leśmiana.

29 Na XX Turniej Rycerski, z pokazami walk, turniejami rycerskimi, inscenizacją bitwy pod Chojnicami z 1454 roku i oblężenia Chojnic z 1466 roku, zaprosili do Parku Tysiąclecia Bractwo Rycerskie Herbu TUR i ChCK.

31 Do końca sierpnia Muzeum Historyczno-Etnograficzne im. Juliana Rydzowskiego eksponowało w wyjątkowej aranżacji złoty pierścień z ametystem – zabytek opisany przez redakcję czasopisma „Archeologia Żywa" w przewodniku *100 najciekawszych odkryć archeologicznych w Polsce*.

WRZESIEŃ

1 W 87. rocznicę wybuchu II wojny światowej delegacje złożyły kwiaty w miejscach pamięci, a w Dolinie Śmierci odprawiona została msza św. w intencji Ojczyzny i ofiar wojny.

4 W ChCK odbył się wernisaż wystawy Elizy Cysewskiej „Czas-o-przestrzeń", prezentującej rysunki, pastele oraz grafiki chojnickiej artystki.

5 Podczas tegorocznej edycji Narodowego Czytania, przygotowanej przez MBP i Stowarzyszenie LekTURa, można było posłuchać fragmentów *Dziadów* Adama Mickiewicza. Ok. 200 rowerzystów wzięło udział w X Rajdzie Kaszubskiej Marszruty. Gościem specjalnym był prezenter pogody Tomasz Zubilewicz.

6 Zabytkowe klasyki oraz youngtimery można było obejrzeć podczas XIV Chojnickiego Zlotu Samochodów Zabytkowych.

12 Jubileusz 50-lecia świętowało Technikum nr 1 przy ul. Kościerskiej, obecnie Centrum Nauk Technicznych.
W wieku 84 lat zmarła Elżbieta Chrapkowska-Pociej, zasłużona chojnicka hafciarka, nagradzana twórczyni ludowa.

14–19 XVII Dni Sztuki połączone zostały z obchodami 90. urodzin Janusza Trzebiatowskiego. Podczas wernisażu wystawy „Medalierstwo" mistrz podarował Chojniczanom prezentowaną kolekcję medali.

17 W MBP odbyła się prezentacja monografii Pawła Piotra Mynarczyka *Zarys dziejów Chojnickiego Klubu Sportowego „Kolejarz"*, wydanej na 100-lecie klubu.

18–20 Pierwsza część Turnieju Miast Chojnice – Dzierżoniów 1986–2026 odbyła się w Dzierżoniowie. Wygrała reprezentacja gospodarzy.

19 W bazylice mniejszej czynna była wystawa reprodukcji dzieł Hermana Hana.
Pierwsze spotkanie z cyklu „Dezinformacja, wojna hybrydowa oraz ich wpływ na naszą psychikę" poprowadził Mikołaj Kołyszko w Centrum Edukacyjno-Wdrożeniowym.
II Rajd Zupy Grzybowej zorganizowały LGD Sandry Brdy i ChTMR „Cyklista".

20 III Wielka Wymiana Książek odbyła się nie na rynku, ale w Hali Widowiskowo-Sportowej. Gościli pisarze: Katarzyna Dowbor, Marcin Kostrzyński, Aleksandra Przytarska i Argymir Iwicki.

21 Na konferencję z okazji Światowego Dnia Choroby Alzheimera zaprosili Stowarzyszenie „Szukam Drogi" i Środowiskowy Dom Samopomocy.

24 Prof. Nicole Dołowy podczas spotkania w MBP mówiła o żywotności języka kaszubskiego.

25 Z okazji Europejskiego Dnia Języków Obcych uczniowie szkół podstawowych zmierzyli się w MBP w konkursie „Kubuś Puchatek – jedna historia, wiele języków".

25–27 28. Chojnickie Filmobranie odbyło się pod hasłem „Filmowe światłocienie". Gościem wydarzenia był reżyser Krzysztof Zanussi.

26 Młodzieżowa Rada Miejska zorganizowała pierwsze Chojnickie Młodzieżowe Targi Talentów.

Oprac. Anna Maria Zdrenka

Kwartalnik Chojnicki
nr 57/2026

Z DZIEJÓW
miasta



ROCH SZUMYK

Bracia Sartowscy z Nowej Cerkwi – *duchowni diecezji chełmińskiej*

Dzieliła ich duża różnica wieku, łączyło powołanie kapłańskie. Józef i Dawid Sartowscy pochodzili z rodziny chłopskiej, byli wychowankami gimnazjum chojnickiego i należeli do duchowieństwa diecezji chełmińskiej w drugiej połowie XIX stulecia.

Patriota i społecznik

Józef i Dawid byli synami Jana i Ewy z d. Przeworskiej, właścicieli gospodarstwa rolnego w Nowej Cerkwi k. Chojnic. Starszy z braci, Józef Sartowski (1823–1896), w wieku 25 lat ukończył Królewskie Katolickie Gimnazjum w Chojnicach i w tym zakładzie oświatowym uzyskał świadectwo maturalne (w burzliwym w wydarzenia społeczno-polityczne roku 1848). W tym samym roku podjął studia teologiczne na uniwersytecie w Münster. Po dwóch latach przeniósł się do Seminarium Duchownego w Pelplinie. 17 kwietnia 1853 roku, mając 30 lat, otrzymał święcenia kapłańskie. Pracę w duszpasterstwie rozpoczął w parafii wąbrzeskiej, a następnie był administratorem w Borzyszkowach i w Płużnicy.



Nowa Cerkiew – widok współczesny

W lipcu 1856 roku został proboszczem w niewielkich Radoszkach k. Brodnicy. W miejscowej parafii św. Wawrzyńca i Mikołaja spędził 40 lat, przyczyniając się do ożywienia życia narodowego Polaków. Przez władze pruskie uważany była za krzewiciela polskości, a w 1864 roku podejrzewano go o udzielenie schronienia na plebanii „werbownikom i agentom" powstania styczniowego. Ks. Józef Sartowski był cenionym filantropem na terenie diecezji; do instytucji, które wspierał, należał m.in. Zakład św. Karola Boromeusza w Chojnicach. Aktywnie działał także w zasłużonym dla ruchu narodowego w Prusach Zachodnich – Towarzystwie Pomocy Naukowej (z siedzibą w Chełmnie). Proboszcz w Radoszkach pomagał również finansowo swojemu młodszemu bratu Dawidowi (w okresie jego nauki gimnazjalnej i późniejszych studiów).

Sprzymierzeniec oświaty i nauki

W biografii ks. Dawida Sartowskiego (1838–1899) odnajdziemy wiele wspólnych elementów – wpisanych również w życiorys jego brata Józefa. Wymienić możemy np. naukę i maturę w Chojnicach, studia w Münster i w Pelplinie, przynależność do TPN, ofiarność na cele społeczne, szacunek dla idei patriotycznych. Dawidowi Sartowskiemu bliższe były jednak zainteresowania związane z edukacją i życiem naukowym. Ks. Dawid Sartowski był intelektualistą posiadającym stopień licencjata teologii, nauczycielem języka hebrajskiego i religii w progimnazjach (najpierw w Kurzętniku, a potem w Lubawie), inspektorem szkół ludowych i egzaminatorem prosynodalnym.

Po 11-letnim okresie nauki gimnazjalnej w Chojnicach i złożeniu egzaminów maturalnych w 1860 roku został immatrykulowany w Münster. Na miejscowym uniwersytecie kształcił się dłużej niż jego brat, bowiem przez cztery lata, aby również przenieść się do Pelplina. W seminarium przygotowywał się do stanu kapłańskiego; wyświęcony został 1 kwietnia 1865 roku. Już jako ksiądz katolicki powrócił do Münster, gdzie trzy miesiące po święceniach uzyskał stopień licencjata. Posługę wikariuszowską sprawował później w Starogardzie Gdańskim i w Kurzętniku; administrował ponadto parafią w Pogódkach. Będąc proboszczem w Lubawie, przyczynił się do powstania w 1873 roku progimnazjum w tym mieście. Doprowadził też do utrzymania, zagrożonej zamknięciem, lubawskiej lecznicy oraz odbudowania spalonej świątyni w Lipach. W uznaniu zasług dla diecezji został kanonikiem gremialnym Kapituły Katedralnej w Pelplinie oraz radcą duchownym w Generalnym Wikariacie. Aktywnie uczestniczył w pracach religijnych stowarzyszeń i był wykonawcą testamentów kilku zmarłych księży, m.in. swojego brata Józefa.

Ocalić od zapomnienia

Ksiądz kanonik Dawid Sartowski i starszy od niego o 15 lat brat, ks. Józef Sartowski, chlubnie zapisali się w annałach diecezji chełmińskiej. Warto na łamach „Kwartalnika Chojnickiego" przypominać zapomniane już sylwetki duchownych, związanych przez wiele lat z Chojnicami (poprzez okres kształcenia czy posługi w parafii). A ukazane, w biograficznym zarysie, postacie braci Sartowskich łączy z naszym miastem również nieodległe miejsce ich urodzenia – wieś Nowa Cerkiew. Obecna murowana świątynia parafialna powstała w latach 1911–1913, a środki na jej wzniesienie gromadzono już wiele lat wcześniej. Legat na ten cel w wysokości 2000 marek przeznaczył kanonik Dawid Sartowski, zmarły w 1899 roku.

Kwartalnik Chojnicki
nr 57/2026

WSPOMNIENIA

Chojniczan



MARIA JUDEJKO

Łączniczka w powstaniu *warszawskim*

Jadwiga Stefania Bogalecka, z domu Gralewska, urodziła się w 1923 roku w Warszawie przy ul. Śliskiej 20/23. Ulica istnieje do dziś, lecz budynek, niestety, nie przetrwał wojny. Od kilkunastu lat Jadwiga mieszka w Chojnicach. Latem pomieszkuje z rodziną w Borsku, w wygodnym domku na skraju lasu. Odpoczywa wówczas na łonie natury, delektuje się świeżym powietrzem, nad głową szumią sosny, a rano budzi ją przecudny śpiew ptaków. Przypominają się jej wówczas wakacje z dzieciństwa.



Weronika i Stefan Gralewscy – rodzice Jadwigi

Ojciec Jadwigi, Stefan Gralewski, był księgowym w fabryce platerów, słynącej z luksusowych, secesyjnych przedmiotów łączących posrebrzany metal z kolorowym szkłem. Matka Jadwigi, Weronika, nie pracowała zawodowo. Zarządzała domem i wychowywała dzieci. Była ich trójka: Jadwiga, starsza o 5 lat siostra Janina i o 10 lat starszy brat Jerzy. Mamie pomagała w domu mieszkająca razem z nimi siostra Weroniki, Stefania. Ciocia Stefcia pracowała w magistracie w biurze meldunkowym.

Życie rodzinne płynęło w spokoju i szczęściu. Dzieci wychowywały się w atmosferze harmonii i dostatku. Chodziły do szkół, wakacje spędzały



Weronika Gralewska z dziećmi na ganku w Wilkowyi

w Wilkowyi pod Garwolinem. Gralewscy mieli tam działkę z całorocznym, drewnianym domkiem usadowionym niemal w lesie. Brakowało w nim łazienki i toalety, ale dzieciom to nie przeszkadzało. Wychodzenie za potrzebą nie stanowiło problemu, zaś do mycia w miednicy i kąpania się w balii były przyzwyczajone, bo w Warszawie też tak wyglądała ich codzienna toaleta.

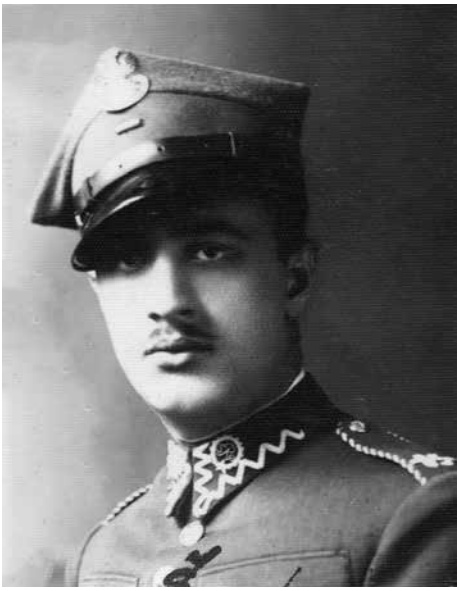
Pobyt na letnisku był dla dzieci cudownym, sielsko-anielskim życiem na łonie natury. Zabawy na placu o powierzchni ograniczonej jedynie własną inwencją i wyobraźnią, bliskie obcowanie z przyrodą ubogacały ich wiedzę i wrażliwość. Świeżutkie mleko prosto od krowy, jajka z kurnika, warzywa wyrwane z ziemi uczyły dzieci szacunku do pracy. Tam czas płynął inaczej. Złociste łany zbóż były przestrzenią niemal uświęconą. Nie wolno było deptać, chować się w zbożu, bo z ziarna robiło się mąkę i piekło chleb, a chleb to świętość. W każdą niedzielę rodzina Gralewskich uczestniczyła w mszy świętej sprawowanej w kościele w Marianowie, oddalonym o pół godziny drogi. Obecność była obowiązkowa. Dzieci nawet nie dyskutowały, ponieważ nie wyobrażały sobie, że mogłoby być inaczej.

Warszawa też serwowała dzieciom wiele atrakcji, było wesoło, ale nie tak jak latem. Mieszkanie na III piętrze, duże i wygodne, zapewniało dobre samopoczucie, lecz do domku na wsi było mu daleko. Z okna w kuchni można było obserwować plac zabaw, jakim było podwórko, ale trudno było je porównywać z wiejską przestrzenią.

W 1937 roku zmarł ukochany ojciec Jadwigi. Od tamtej pory skończył się etap cudownego, beztroskiego życia, w tym wyjazdy i atrakcyjne wakacje w domku pod lasem. Jadwiga miała wówczas 14 lat. Nagle zabrakło osoby, która dawała poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Może ojciec nie rozumiał jej tak, jak matka, ale potrafił rozładować sytuację, doprowadzić do śmiechu i sprawić, że kłopoty malały, a niekiedy nawet całkiem znikały. Życie jednak musiało toczyć się dalej. Siostra kończyła gimnazjum, brat studiował w Szkole Głównej Handlowej, był po dwuletniej służbie wojskowej, miał narzeczoną, planowali ślub. Niestety, ze względu na śmierć ojca termin ślubu młodzi musieli przełożyć.

Wybuch II wojny światowej po raz kolejny zniszczył rodzinie spokój i radość dnia codziennego. Nastał czas trwogi i lęku o własne życie oraz życie najbliższych. Jadwiga,

jako 16-latka, w pełni zdawała sobie sprawę z sytuacji i niestety nie mogła liczyć na wsparcie ojca, nie mogła też liczyć na brata, bo on, jako 26-letni mężczyzna, miał własne sprawy i obowiązek względem ojczyzny. Wraz z wybuchem wojny wszystko się zmieniło. Mieszkańcy stolicy razem z żołnierzami stawiali jednak silny opór, budowali barykady i zapory. Mimo że niemieckie bomby zapędziły ludzi do piwnic, pozbawiły światła, wody, pomocy sanitarnej i żywności, walki wciąż trwały. W końcu Warszawiacy dobrnęli do ściany.



Jerzy Gralewski, brat Jadwigi

Po kapitulacji i wkroczeniu Wehrmachtu Niemcy błyskawicznie opanowali urzędy, sądy, fabryki i całą infrastrukturę. Porozwieszali na budynkach swastyki, na ulicach różowe plakaty z ogłoszeniem o obowiązku oddania broni i odbiorników radiowych pod karą śmierci. Brat Jadwigi postanowił się jednak zbuntować. Zakazane przedmioty ukrył w podłodze piwnicy i lekko je zabetonował. Po pewnym czasie zjawili się u niego dwaj panowie w czarnych kapeluszach i cywilnych ubraniach. Wiedzieli wszystko. Broń i radio znaleźli. Jerzego zabrali na Pawiak, jako więźnia politycznego. Później wywieziony został do obozu koncentracyjnego w Dachau, skąd napisał kartkę do żony z informacją, że żyje i jest zdrów. Po jakimś czasie przewieziono go do obozu w Mauthausen. Tam niestety zginął podczas próby ucieczki. Matka straciła syna, żona męża, a siostry brata.

Okupacja niosła ze sobą wiele tragedii, dzieciom przerwała dzieciństwo, dorosłym zmieniła życie w piekło, wszędzie szalało zło, ale trzeba było jakoś sobie radzić, przyjmując za normę to, co nigdy normalne nie było. Jadwiga uczęszczała na tajne komplety do szkoły Heleny Rzeszotarskiej, założycielki Prywatnego Żeńskiego Gimnazjum i Liceum. Szkoła stanowiła wówczas ważny ośrodek podziemnej edukacji oraz ruchu oporu. Jadwiga nie była jeszcze gotowa na konspiracyjną działalność, ale oswajała się z taką ewentualnością. W 1943 roku ukończyła czteroletnie gimnazjum i zdobyła tajną małą maturę. Żeby uzyskać dużą, musiałaby uczyć się dwa lata dłużej. Zastanawiała się nad kontynuacją nauki, lecz życie samo weryfikowało plany i wymagało trochę innych decyzji. Mieszkała wtedy z ciocią Stefcią przy ul. Freta. Tak się bowiem złożyło, że podczas wrześniowego bombardowania Warszawy na ich budynek przy ul. Śliskiej spadła bomba. Szczęśliwie nie wybuchła, ale przebiła dach i strych, po czym wbiła się w strop mieszkania Gralewskich i wszyscy musieli opuścić budynek.



Od prawej Stefan i Jadwiga Gralewscy z kolegą przed wejściem do obozu

Wówczas zaprzyjaźniona z Gralewskimi pani Fuksiewiczowa z ul. Freta udostępniła im jeden mały pokój. Po kapitulacji matka Jadwigi ze starszą córką wyjechały z Warszawy i zamieszkały w Wilkowyi, natomiast ciocia Stefcia z Jadwigą pozostały na miejscu. Ciocia ze względu na pracę, Jadwiga – na szkołę.

Życie pod okupacją było ciężkie. Panował głód i terror. Młodzież burzyła się, buntowała, lecz ogólny strach, zagrożenie życia, obawa tortur powodowały, że nieraz brakowało odwagi i uporu. Ale nawet wtedy radość przynosiło złamanie jakiegoś niemieckiego zakazu i zademonstrowanie małego sprzeciwu, ponieważ było to symbolem buntu na miarę własnych możliwości, formą cichej, osobistej walki z okupantem.

Jadwiga bywała świadkiem wielu tragedii. Łapanki osobiście nie przeżyła, ale sytuacje, które widziała, mroziły krew w żyłach. Jednego dnia na jej oczach Niemcy rozstrzelali 20 osób. Podjechali samochodami i z piskiem opon zatrzymali się tuż pod oknami koleżanki, u której była akurat Jadwiga. Pośród krzyków i rozkazów wypędzali więźniów z paki, zakładali im worki na głowę i pędzili pod mur. Po rozstrzelaniu inna grupa, chwytając ofiary za ręce i nogi, z rozmachem wrzucała je z powrotem na pakę. Wkrótce odjechali i znowu nastała cisza. Gdyby nie kałuże krwi, nikt nie domyśliłby się, że przed chwilą rozegrała się tam tak straszna tragedia. W tym czasie Jadwiga wciąż zastanawiała się, czy powinna podjąć dalszą naukę, czy pracę. Wówczas ktoś podpowiedział cioci, że działa jeszcze przedwojenny Kurs Buchalteryjno-Handlowy Henryka Chankowskiego. Jadwiga zgłosiła się i została przyjęta na rok szkolny 1943/1944. Oczywiście nauka odbywała się w konspiracji, a uczniowie pochodzili z całej Polski.

W tej szkole zaczęła się współpraca Jadwigi z Armią Krajową, i to prawie od samego początku. Przysięgę złożyła na Starym Mokotowie, w punkcie konspiracyjnym przy ul. Szustra (dzisiejsza ul. Jarosława Dąbrowskiego) w obecności przyszłego dowódcy. Otrzymała pseudonim „Maleńka". Została wcielona do zgrupowania „Radosław", którym dowodził odbierający od niej przysięgę ppłk. Jan Mazurkiewicz, ps. „Sęp". Wcześniej nosił pseudonim „Radosław". Był to mężczyzna w średnim wieku, bardzo poważny, oszczędny w słowach i służbowy. Zgrupowanie natomiast

było silną, elitarną jednostką AK powstałą po części z oddziałów dyspozycyjnych Kedywu. W skład jednostki wchodziły bataliony: „Zośka", „Parasol", „Miotła", „Czata 49", „Pięść", „Broda 53", „Kolegium A" oraz kobiecy oddział „Dysk". Ale o tym Jadwiga dowiedziała się później. Przysięga była dla niej ogromnym przeżyciem. Jej serce przepełniała radość zmieszana z niepewnością. Bała się, że nie starczy jej odwagi i zawiedzie, a z drugiej strony czuła wielką satysfakcję, bo wreszcie jej cichy bunt przeciwko okupantowi będzie mógł znaleźć ujście.

Nie mogła pogodzić się z okupacją. Gdy idąc ulicą, słyszała pisk samochodowych hamulców, ogarniała ją panika. Gdy trafiła akurat na przemarsz jakiegoś niemieckiego oddziału, natychmiast zatrzymywała się przy wystawie sklepowej i udając, że coś ją zainteresowało, z niepokojem czekała, aż pójdą dalej. Gdy słyszała ich dumny śpiew *Heili, Heilo, Heila* i czuła rozbujałe ego żołnierzy, od razu gotowa była czmychać jak najdalej, a w sercu rodziła się coraz większa nienawiść. Podobnie reagowała cała młodzież. W geście protestu młodzi nie chodzili do kina z uwagi na serwowane tam propagandę i fałsz. Powiadano nawet, że „tylko świnie siedzą w kinie". Sprzeciw, drobny sabotaż, przechytrzenie butnego Niemca, odebranie mu broni, sprzeniewierzenie się odgórnym rozkazom przynosiły ogromną radość i satysfakcję.

W tym czasie Jadwiga była kolporterką Polskiego Państwa Podziemnego, przenosząc prasę konspiracyjną, biuletyny informacyjne, informacje uzyskane z radiowego nasłuchu aliantów, tajne rozkazy dowództwa, pocztę między lokalami konspiracyjnymi, kenkarty i inne fałszywe dokumenty, meldunki wywiadowcze, drobne pakiety pieniędzy, a także pistolety. Fundusze przeznaczane były na wsparcie dla osób ukrywających się, na akcje sabotażowe, bibułę i szkolenia żołnierzy podziemia. Broń kupowaną od Niemców lub po prostu zdobywaną przenosiła zwykle po jednej sztuce, schowanej w szkolnej teczce, która musiała być anonimowa, bez możliwości powiązania jej z kimkolwiek. Zasady były konkretne. Zero adresów, nazwisk, żadnej kartki. W razie łapanki lub kontroli w tramwaju miała przykazane zostawić teczkę na ziemi, odejść i nie przyznawać się do niej.

Oczywiście bała się, strach towarzyszył jej przez cały czas, ale determinacja i poczucie patriotycznego obowiązku były większe. Dramatycznych sytuacji przeżyła wiele, nieraz skóra jej cierpła na plecach, ale miała szczęście. Pomimo że w każdej chwili groziła jej wpadka,



Ślub Jadwigi Gralewskiej i Władysława Bogaleckiego w październiku 1945 roku. Obóz w Marientalu

jakoś nie myślała wtedy o najgorszym. Wszystkich mogło spotkać nieszczęście, tylko nie ją. I chyba dzięki takiemu podejściu mogła ryzykować.

Nie miała wyznaczonego rewiru, gdy trzeba było, to biegała lub jeździła tramwajem po całej Warszawie. Bardzo denerwowały ją wówczas napisy: „Tylko dla Niemców" oraz łańcuchy odgradzające uprzywilejowaną przestrzeń. Gdy widziała rozsiadłych, butnych Niemców czujących się jak u siebie oraz grube, zadowolone Niemki z odrazą i pogardą spoglądające od czasu do czasu na przestrzeń przeznaczoną dla „podludzi", od razu miała ochotę zrobić coś na złość. Utwierdzała się wówczas w przekonaniu, że powstanie jest jedyną drogą dla ujścia gniewu i nienawiści. Takie nastawienie było powszechne. Okres przed wybuchem powstania 1 sierpnia 1944 roku był dla łączniczek gorący. Od dobrych i na czas przekazywanych informacji wiele zależało. A trzeba przyznać, przedpowstaniowa gorączka udzielała się wszystkim. Wizja wypędzenia Niemców i odzyskanie niepodległości były tak oczekiwane, że na samą myśl serce skakało z radości. Nikt nie myślał o przegranej, zwłaszcza że sytuacja III Rzeszy na froncie wschodnim była coraz gorsza. Młode, gorące serca rwały się do walki i nie było takiej siły, która by to mogła powstrzymać.

Tymczasem do ostatniej chwili nic nie było pewne. Młodzi siedzieli jak na szpilkach, oficerowie się denerwowali, bo przychodziły jakieś dziwne rozkazy. W serca oczekujących wkraczało rozczarowanie, ale to tylko pogłębiało parcie do walki. A gdy pod koniec lipca Niemcy ogłosili przez megafony wezwanie o obowiązku stawienia się 100 tysięcy mężczyzn i kobiet w wieku 17–65 lat do robót fortyfikacyjnych na okres 10 dni, ogólnie było wiadomo, że ten manewr miał na celu niedopuszczenie do wybuchu powstania. Istniało podejrzenie, że ci ludzie mogą już wcale do domu nie wrócić, pozostała więc walka.

Gdy wreszcie została wyznaczona godzina „W", wszyscy przyjęli ją z euforią. Ściskali się i całowali z radości. Młodzieńczy hart ducha nie pozwalał nawet pomyśleć, że coś mogłoby pójść nie tak. Wszyscy uważali, że powstanie potrwa kilka dni i nareszcie Polacy będą gospodarzami u siebie. Na półtorej doby przed godziną „W" Jadwiga otrzymała rozkaz stawienia się w swojej bazie przy ul. Bednarskiej. Ulica ta należała do Powiśla i była granicą między Starówką a Powiślem, wcześniej stanowiła granicę getta. Kluczowym zadaniem partyzantów było zaskoczenie Niemców, przejęcie najważniejszych obiektów i szybkie



Rodzina Bogaleckich bez najmłodszej córki, której nie było jeszcze na świecie. Gdańsk, lipiec 1957 rok

formowanie linii obronnych. Niestety, zaskoczenie nie wszędzie się udało, a zdobyte obiekty trudno było utrzymać, ponieważ powstańców było wielu, lecz broni mało. Później zdobywali ją na wrogu, ale brakowało amunicji. Gdy jednak polska flaga dumnie powiewała nad zdobytym budynkiem, w sercach walczących rosły radość i nadzieja.



Jadwiga Bogalecka z córką i zięciem podczas 99. urodzin

Następne dni były bardzo trudne. Niemcy otrzymali posiłki i przypuścili atak przy pomocy artylerii, czołgów i lotnictwa. Powstańcy z karabinami, często tylko z pistoletem w dłoni, nie mieli zbyt dużych szans. Mimo to z pomocą ludności cywilnej dzielnie walczyli. Punkt kontaktowy przy ul. Bednarskiej obsługiwały dwie łączniczki – „Maleńka" i „Ola", młodsza od Jadwigi o dwa lata, która przybyła w kilka dni po wybuchu powstania. Ppłk. „Sęp" czasem wpadał, załatwiał co trzeba, wydawał polecenia i znikał. Koordynował działania kilku oddziałów, zatem miał pełne ręce roboty. Zwłaszcza że łączność się rwała, a sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie. Jadwiga dosyć często biegała na kwaterę pułku AK „Baszta", mieszczącą się przy ul. Szustra oraz na kwaterę dowództwa AK grupy „Północ" przy ul. Freta. Rejon, który najczęściej obsługiwała, był ważnym terenem operacyjnym, ośrodkiem placówek oraz punktów łączności i dowodzenia. Przebiegały tamtędy linie obronne i punkty etapowe, a później znajdował się tam węzeł łączności kanałowej Mokotów–Śródmieście.

W drugiej połowie sierpnia sytuacja powstańców jeszcze bardziej się skomplikowała, gdyż Niemcy zaczęli używać miotaczy min, małych wyrzutni rakietowych, nazywanych przez Polaków „krowami" lub „szafami" ze względu na wydawany dźwięk ryczącej krowy lub przesuwanej szafy. Pociski wypełnione materiałem wybuchowym z domieszką związków fosforowych po eksplozji burzyły i paliły wszystko, co znalazło się w polu rażenia. Oznaczało to śmierć w męczarniach. Jadwiga przyklejona do ścian budynków pokonywała ulice pełne gruzu i szkła. Zapach swądu, krwi i śmierci oraz świeże mogiły na podwórkach potwierdzały wielkie, ludzkie nieszczęście. Huk wybuchów, odgłos wystrzałów i serii z karabinów maszynowych budziły grozę, ale wiedziała, że nie może zawieźć. Niejeden raz przemykała piwnicami, w których siedzieli mieszkańcy budynku. Byli głodni, wystraszeni, zmęczeni, zrezygnowani, bezradni, niektórzy z szaleństwem w oczach.



100. urodziny. Jadwiga w otoczeniu rodziny. Borsk 2023 rok

Powstańcy tymczasem powoli oddawali zdobyte wcześniej rejony, bo bez amunicji niewiele mogli zrobić. W końcu ci z Powiśla i Starego Miasta musieli ratować się ucieczką kanałami do Śródmieścia. Ale o tym Jadwiga dowiedziała się dopiero po wojnie. Gdyby tam była, brałaby udział w okropnym przejściu kanałami, kiedy to ludzie tracili zmysły, a potem byłaby świadkiem przykrej kapitulacji, gdyby oczywiście jeszcze żyła. Ją jednak czekał inny los.

Jednego ranka pod koniec sierpnia Jadwiga usłyszała pisk samochodowych hamulców i do budynku przy ul. Bednarskiej wpadli uzbrojeni Niemcy. Pośród krzyków i poszturchiwań wyprowadzili mieszkańców na zewnątrz. Ludzie byli przerażeni, bo myśleli, że zaraz staną pod ścianą i zostaną rozstrzelani. Jadwiga też tak myślała, tym bardziej że zgromadzili ich na podwórku pod murem. Jednak zamiast egzekucji, pod eskortą wyprowadzili ich na ulicę. Na szczęście Jadwiga nie miała przy sobie opaski, furażerki ani bluzy z oznakowaniem powstańca i Niemcy nie wiedzieli o jej udziale w powstaniu. Nie pamięta, co stało się z „Olą", może akurat jej nie było. Do ich pochodu dołączyli po drodze inni mieszkańcy ulicy i razem ruszyli w kierunku Pruszkowa. Ucieczka była niemożliwa, bo po bokach pilnowali uzbrojeni Niemcy z psami u nogi. W Pruszkowie, w ogromnej hali kolejowej, więźniowie odbyli kąpiel pod zimnym prysznicem, a potem nago stawali przed komisją. Po weryfikacji zapędzono ich do wagonów towarowych, stojących na bocznicy. W wagonach, ze względu na ciasnotę, można było jedynie stać. Podczas jazdy panował zaduch, dokuczał smród

i zmęczenie, a najbardziej pragnienie. Suche, spieczone usta pękały, ludzie przestali się nawet odzywać.

Pociąg zatrzymywał się parę razy. Jadwiga zapamiętała takie nazwy stacji, jak: Buchenwald, Weimar, Oranienburg, niekoniecznie w tej kolejności. Niemcy odryglowywali wtedy drzwi, z karabinami oraz psami u nogi okrążali wagony i kazali mężczyznom wysiadać. Pośród krzyków i wrzasków rozdzielano rodziny, które lamentowały i płakały, bo nie wiedziały, czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczą. Niemców jeszcze bardziej to denerwowało, dlatego z coraz większą złością pokrzykiwali: – „Raus! Raus!". Jadwiga dziękowała Bogu, że była sama i nie miała takiego problemu. Mogła jedynie zdać się na los.

Wreszcie, gdy zostały już tylko same kobiety i dzieci, przyszła kolej i na nie. Wysadzono je gdzieś koło Hanoweru. To był pierwszy obóz Jadwigi. W sumie przebywała w trzech. Pozostawiły ślad w jej psychice i zdrowiu. W pierwszym, w Meinkingsburg Lager, przebywały kobiety i dzieci, które wysiadły z pociągu, ogółem 309 osób. Najmłodsze dziecko miało dwa lata. Był to niewielki obóz przymusowej pracy, mieszczący się w dużym, drewnianym baraku. Kobiety otrzymały tam drewniaki i opaskę z literą „P". Pracowały w okolicznych gospodarstwach rolnych przy wykopkach ziemniaków i buraków pastewnych. Gdy skończyły się wykopki, kobiety przewiezione zostały do obozu Sachsenhausen. Ten obóz składał się z 13 drewnianych baraków, w których przebywało około 2000 więźniów i robotników przymusowych z całej Europy. Wykonywali prace w okolicznych lasach, przedsiębiorstwach, gospodarstwach rolnych i drobnych zakładach usługowych. Trzeci obóz Jadwigi znajdował się na terenie firmy Simensa. Została tam przeniesiona wraz z siedmioma innymi kobietami z uwagi na bliższą odległość do miejsca pracy.

Któregoś dnia przyszedł ktoś z kierownictwa obozu i poinformował kobiety, że jest koniec wojny. Powiedział: – „Macie wolną rękę, możecie pozostać albo wyjechać, każdy sam podejmuje decyzję i na własną rękę szuka miejsca



Odwiedziny burmistrza Chojnic z okazji 100. urodzin

dla siebie". Kobiety ucieszyły się, wreszcie przyszła upragniona wolność, tyle że żadna z nich nie wiedziała, co z nią zrobić. Czasy były niepewne, front za plecami, za frontem ruiny i zgliszcza, podróż pod wielkim znakiem zapytania. Jadwidze i koleżance pomógł pewien znajomy, który wytłumaczył im, co może je spotkać, gdy zostaną. Przyszedł z jakimś młodym Francuzem i rzekł: – „Idziemy na przeprawę przez Łabę na amerykańską stronę. Zabierajcie się z nami, unikniecie frontu i Rosjan". Oczywiście zgodziły się. Do punktu zbiorczej przeprawy w okolicy Torgau było ponad 80 kilometrów. Na szczęście znajomy prowadził. Im bliżej było do miejsca przeprawy, tym coraz więcej zaczęło pojawiać się ludzi, takich jak oni. Nikt nie chciał zostać po radzieckiej stronie.

Na miejscu okazało się jednak, że most na rzece w Torgau został zburzony. Zrobił to wycofujący się Wehrmacht, by opóźnić dalszy marsz Rosjan. Dlatego sytuacja stała się dramatyczna. Wprawdzie wojsko alianckie organizowało przeprawy pontonowe, krążyła też motorówka oznaczona czerwonym krzyżem, lecz w pierwszej kolejności zabierano jeńców wojennych, następnie cywilów pochodzących z Zachodu, ale nie Polaków i osoby ze Wschodu. Jak później Jadwiga się dowiedziała, alianci postępowali zgodnie z ustaleniami jałtańskimi. Byli zobowiązani do przekazywania Rosjanom obywateli ZSRR oraz osób pochodzących z krajów objętych radziecką strefą wpływu. Ale gdy ktoś przeprawiał się na własną rękę, nie robili problemu. Dlatego niektórzy budowali prowizoryczne tratwy, inni korzystali ze znalezionych przy brzegu zniszczonych i porzuconych łodzi rybackich, a część po prostu płynęła wpław. Ci raczej ginęli, ponieważ rzeka była szeroka i pełna wirów.

Jadwiga ze swoją grupą przeprawili się łodzią znalezioną w trzcinach. Po prowizorycznej „naprawie" wypłynęli. Bez przerwy wylewali menażkami zbierającą się wodę i było oczywiste, że na dłuższą metę nie dadzą rady, zwłaszcza że znosił ich prąd. Na szczęście dopłynęli do brzegu. Byli potwornie zmęczeni. Żeby odpocząć, usiedli na wale i spuściwszy nogi do wody, płakali ze szczęścia. Łzy płynęły im po policzkach i długo trwało, zanim zaczęli rozmawiać. Po odpoczynku zaś Jadwiga z koleżanką udały się do obozu w Mariental, gdzie wojsko polskie pod nadzorem administracji wojsk alianckich i UNRRY przeprowadzało weryfikację. Zadaniem obozu była rejestracja, opieka i organizowanie dalszych losów polskich uchodźców. Obóz składał się z podobozu cywilnego i wojskowego. W tym obozie Jadwiga poznała przyszłego męża, Władysława Bogaleckiego, który od 1939 roku przebywał na terenie Niemiec jako jeniec wojenny. Ślub wzięli 14 października 1945 roku w kaplicy obozowej. Udzielał go ksiądz Konrad Szefler, Poznaniak. Był to pierwszy wojskowy ślub w obozie.

Jadwiga z mężem podjęli decyzję o powrocie do kraju dopiero w kwietniu 1946 roku. Była to trudna decyzja. Dochodziły wieści, że kraj jest w ruinie, panuje okropna bieda, w dodatku akowcy i andersowcy nie są szczególnie miło witani. Jadwiga jednak pragnęła wrócić do Polski. Chciała wiedzieć, jaki los spotkał rodzinę, bardzo za nią tęskniła. Dlatego, gdy opróżniony został obóz cywilny i przyszła pora na wojskowy, ona i mąż wyjechali pierwszym transportem, oczywiście pociągiem towarowym. Jako punkt docelowy podali adres rodziców męża. Jadwiga nie mogła

podać adresu warszawskiego, bo go po prostu nie znała. Nawet nie wiedziała, czy ktoś z rodziny jeszcze żyje. Na terenie Polski pociąg zatrzymał się na dworcu w Legnicy. Władze miasta przywitały podróżnych solonym śledziem i kawałkiem chleba. Stamtąd Bogaleccy wyruszyli w dalszą podróż do Grudziądza, a potem do wsi Rogóźno.

Liczna rodzina męża przyjęła ich bardzo serdecznie. Niestety, nie żyła już matka męża. Gospodarował ojciec i dorosłe dzieci. Młodzi pozakładali nowe rodziny, w domu było bardzo ciasno. W dodatku warunki socjalne, jak to na wsi – woda w studni, ubikacja za stodołą. Jadwiga była już w ciąży, bardzo źle ją znosiła i na dłuższą metę nie wyobrażała sobie takiego życia. Dlatego oboje z mężem postanowili znaleźć gdzieś inne miejsce dla siebie. Wybrali Kwidzyn. Najpierw mąż pojechał sam. Zgłosił się w Urzędzie Miasta, otrzymał pracę w Samopomocy Chłopskiej oraz trzy mieszkania do wyboru. Wybrał najlepsze. Ogarnął je tak, jak potrafił, wyczyścił piec, skombinował gdzieś brakujące fajerki, oblepił gliną szczeliny, zakupił łóżko i dopiero wtedy pojechał po żonę.

W Kwidzynie mieszkali przez kilka lat. Jadwiga urodziła tam dwoje dzieci. Szukając jednak lepszych warunków płacowych i socjalnych, postawili na Gdańsk. Początkowo mąż zatrudnił się w rzeźni, następnie spróbował szczęścia w Stoczni Gdańskiej, lecz po przedstawieniu dokumentów kadrowa stwierdziła: – „Przepraszam, ale nie mogę pana zatrudnić". – „Dlaczego?" – zapytał Władysław. – „Był pan na Zachodzie. Przykro mi. Nie mogę" – odpowiedziała kadrowa. Po pewnym czasie mąż poszedł do Stoczni Północnej. Tam zatrudniono go bez problemu, ale musiał



Jadwiga Bogalecka w 102. urodziny

podpisać zobowiązanie, że nikomu nie powie, co robią i dla kogo. Okazało się potem, że prawie wszystkie ich wyroby wysyłane były na Wschód. W tej stoczni pracował aż do emerytury.

W Gdańsku Jadwiga urodziła kolejną dwójkę dzieci. Trzykrotnie zmieniali jeszcze mieszkanie, oczywiście na terenie miasta, i za każdym razem na lepsze lub większe. Gdy w końcu otrzymali mieszkanie w bloku, które posiadało łazienkę, przestali wędrować. Mąż zmarł w 1992 roku. W Chojnicach Jadwiga zamieszkała dopiero w 2019 roku. Wojna zabrała jej najpiękniejsze lata. Zamiast bawić się i korzystać z młodości, musiała walczyć o przetrwanie. Powstania warszawskiego nie może zapomnieć. Niektóre zdarzenia wracają w snach, prześladują w myślach i obrazach. Po wojnie spotykała się z opinią, że powstanie było niepotrzebne, przyniosło tak wiele ofiar, że nie było warto. Ona jednak uważa, że było potrzebne. Powstańcy nie kalkulowali, nie zastanawiali się nad tym, czy ich zryw ma sens. Chcieli wywalczyć sobie niepodległość. Powstanie upadło, to prawda, o ofiarach też nigdy nie wolno zapomnieć, ale mimo wszystko, gdyby nie powstanie, może byłoby jeszcze gorzej? Z perspektywy czasu łatwo jest oceniać i krytykować, lecz w tamtych realiach odwołanie powstania było niemożliwe. Młodzi i tak by poszli, i tak by ginęli.

Jadwiga, mimo nie zawsze łatwego życia, zachowała pogodę ducha, jest osobą łagodną i życzliwą. Zapytana, co czuje jako 103-latka, odpowiada: – „Przede wszystkim niedowierzanie, ale też jakąś łaskę od Boga, bo pozwolił doczekać mi tych lat z pełną świadomością i wprawdzie trochę ograniczoną, ale jeszcze w miarę sprawną fizycznie" i wznosząc oczy ku niebu, dodaje: – „Widocznie mam sponsorów, tam u góry, którzy mi pomagają". Doczekała się ośmiorga wnucząt, szesnaściorga prawnucząt i jednej praprawnuczki. Cieszy się, że młodzi mogą żyć w spokoju, bez wojny i jej okrucieństwa. Oby nigdy nie musieli mierzyć się z takimi problemami, jak ona.

Na zakończenie w imieniu Kolegium Redakcyjnego „Kwartalnika Chojnickiego" życzę pani Jadwidze długiego życia. Ponieważ powszechna formułka „Sto lat!" w stosunku do niej byłaby dużym nietaktem, dlatego winszuję jej dwustu lat w zdrowiu, sprawności i w otoczeniu kochającej rodziny.

Fot. ze zbiorów Jadwigi Bogaleckiej

Kwartalnik Chojnicki
nr 57/2026

CHOJNICE
i okolice



100 lat praw miejskich Czerska.

Rozmowa z burmistrzem Danielem Szpręgą

W 1926 roku Czersk otrzymał prawa miejskie. Gdyby miał Pan wskazać trzy wydarzenia, procesy albo decyzje z ostatnich 100 lat, które najmocniej ukształtowały dzisiejszy Czersk – co by Pan wybrał i dlaczego?



Patrząc na te 100 lat, widzę raczej trzy okresy niż trzy pojedyncze daty. Pierwszy to odzyskanie niepodległości i początek miasta. Prawa miejskie były docenieniem polskości tej ziemi i aspiracji jej mieszkańców – Czersk był już wtedy dużą miejscowością, która zasłużyła na ten status. Ten optymizm przerwała II wojna światowa: okupacja, wysiedlenia i prześladowania zatrzymały rozwój miasta. Drugi okres to



przełom lat 90. i początek lat 2000. Odzyskaliśmy samorząd, ale jednocześnie mierzyliśmy się z dużym bezrobociem. Wtedy ludzie wzięli sprawy w swoje ręce: zakładali własne, często bardzo małe firmy, rodzinne warsztaty i usługi. To mikroprzedsiębiorstwa utrzymały Czersk w tamtych latach. Zwrotnym punktem było powstanie nowego centrum Czerska, które pokazało, że miasto może się zmieniać. Trzeci, przełomowy, moment to wejście Polski do Unii Europejskiej. Najpierw środki przedakcesyjne, a potem fundusze unijne pozwoliły nam zrealizować inwestycje, na które sama gmina nigdy nie byłaby w stanie sobie pozwolić. Ten sposób myślenia – sięgać po środki zewnętrzne – został z nami do dziś.

Przez całe stulecie naszym atutem było też położenie. Czersk leży przy drodze krajowej nr 22 i na skrzyżowaniu linii kolejowych 201, 203 i 215. To kolej dała miastu początek i to ona wciąż łączy nas z regionem. Za każdym z tych okresów stoją jednak przede wszystkim ludzie – to oni sprawili, że Czersk przetrwał trudne czasy i wykorzystał dobre.

Jubileusze sprzyjają budowaniu lokalnej tożsamości, ale czasem prowadzą też do tworzenia nieco wyidealizowanego obrazu przeszłości. Czy w historii Czerska są wydarzenia lub okresy trudne, o których również powinniśmy dzisiaj pamiętać i otwarcie rozmawiać?

Tak, i uważam, że jubileusz właśnie do tego zobowiązuje. 100 lat to nie tylko powód do dumy. Najtrudniejszy był czas okupacji. Trudne były też lata walki o polskość przed powrotem tych ziem do Polski, a także okres powojenny, kiedy koniec okupacji nie oznaczał jeszcze pełnej wolności. Nie chodzi o rozdrapywanie ran, tylko o prawdę. W wystąpieniu wygłoszonym 3 maja mówiłem, że widzę w minionym stuleciu solidarność, która przetrwała trudne momenty – ale żeby ją docenić, trzeba znać te momenty. Bardzo cieszy mnie, że w Czersku pamięć o historii nie jest sprawą wyłącznie urzędu. To mieszkańcy zbierają wspomnienia i rodzinne pamiątki, piszą o lokalnych dziejach, przygotowują uroczystości rocznicowe, a nauczyciele przybliżają historię młodzieży. To jest lokalny patriotyzm w najlepszym wydaniu. Jako samorząd dbamy o to, by historia była ważna – wspieramy te inicjatywy, organizujemy obchody rocznic i staramy się, by kolejne pokolenia wiedziały, skąd pochodzą. Warto też pamiętać, że z tej trudnej historii potrafiliśmy zbudować pojednanie. Od lat przyjaźnimy się z partnerskim Boizenburgiem w Niemczech, a podczas uroczystej sesji jubileuszowej honorowe obywatelstwo gminy otrzymał były burmistrz tego miasta. Pamięć i przyjaźń mogą iść w parze.

Obchody stulecia rozłożono praktycznie na cały 2026 rok – od wydarzeń historycznych i kulturalnych po koncerty, sport oraz inicjatywy dla dzieci i młodzieży. Jak powstawał ten program i na ile jego autorami byli sami mieszkańcy?

Najbardziej charakterystyczne dla tego jubileuszu jest to, że świętujemy przez cały rok – od pierwszego do ostatniego miesiąca. Harmonogram był gotowy na początku roku i opublikowaliśmy go w „Panoramie Czerska", żeby każdy mógł zaplanować udział. Zaczęliśmy 10 stycznia dwoma koncertami kolęd zespołu Pectus przy pełnej sali, który zainaugurował obchody. Odbyła się również wystawa makiet kolejowych „100 m na 100-lecie". W marcu, na Dzień Kobiet, wystąpił Andrzej Piaseczny. W maju była jubileuszowa majówka, podczas której przeszła Parada 3 Maja oraz wystąpił wielokrotnie nagradzany duet Kuba i Kuba. Następnie 1 lipca odbyła się uroczysta sesja Rady Miejskiej, a 4 lipca urodziny miasta z koncertami Dawida Kwiatkowskiego i C-BooLa. Z kolei 12 lipca na Placu Ostrowskiego odbył się wyjątkowy koncert muzyki klasycznej z udziałem pochodzącego z Łęga Tomasza Wojaka, który na co dzień wykłada na jednej z uczelni we Francji, i Julii Kowalewskiej-Pruszak – naszej diwy z Opery Nova w Bydgoszczy. Do tego wystawy artystyczne, wykłady historyczne w szkołach i konkurs „Czersk moimi oczami". Zależało nam, by każda grupa mieszkańców znalazła coś dla siebie – dzieci, młodzież, rodziny, seniorzy i sportowcy. Dlatego przygotowaliśmy dwa jubileuszowe biegi RUN CZERSK 1926–2026: w czerwcu na dystansie 10 km „Szmaragd Borów" wokół Ostrowitego, a we wrześniu półmaraton „Kręgi Mocy" z Kręgów Kamiennych w Odrach do centrum Czerska, z bezpłatnymi biegami dla dzieci. Takich biegów w Czersku wcześniej nie było, a medale z obu



startów składają się w jedną pamiątkę z obchodów stulecia. Było wiele wydarzeń, które w każdym miesiącu przypominały nam o wyjątkowości roku jubileuszowego.

Mieszkańcy współtworzyli ten program od początku. Logo, hasło oraz artystów, którzy wystąpią podczas jubileuszu wybrali w ankiecie we wrześniu 2025 roku. Murale stworzyli lokalni twórcy z duetu CO KTO?, w Paradzie 3 Maja szli seniorzy z UTW, chór Lutnia, strażacy i rolnicy, a szkoły, GCK i organizacje same zgłaszały inicjatywy. Duże wydarzenia wymagały profesjonalnej organizacji i dbaliśmy, by wszystko stało na wysokim poziomie – ale sercem obchodów byli mieszkańcy.

Jaki jest całkowity koszt obchodów 100-lecia Czerska? Ile środków pochodzi bezpośrednio z budżetu gminy, ile udało się pozyskać z zewnątrz i co odpowiada Pan mieszkańcowi, który zapyta: czy tych pieniędzy nie można było przeznaczyć na drogi, mieszkania albo inne pilniejsze potrzeby?

Jubileusz wciąż trwa, dlatego pełne rozliczenie przedstawimy po jego zakończeniu – wszystkie dane będą jawne. Już dziś mogę powiedzieć, że ważną część obchodów sfinansowali sponsorzy, którzy łącznie przekazali ponad 100 tys. zł. Strategicznym sponsorem tytularnym jest Bank Spółdzielczy w Skórczu, a wsparli nas także m.in. firmy Skiba, Sałata i Mylof. To dzięki sponsorom mieszkańcy mogli np. wspólnie

zjeść urodzinowy tort dla miasta. Wszystkim, którzy dołożyli swoją cegiełkę, bardzo dziękuję. Rozumiem to pytanie i nie zbywam go. Odpowiem tak: wydatki na jubileusz to ułamek budżetu, w którym rocznie na inwestycje przeznaczamy kilkadziesiąt milionów złotych. W tym samym czasie przebudowujemy centrum Czerska, rozbudowujemy szkoły w Rytlu i Czersku, budujemy mieszkania komunalne. Drogi pozostają naszym priorytetem – również we współpracy z powiatem. Obchody niczego z tej listy nie zatrzymały. Miasto to jednak nie tylko mury i asfalt. Takie święto zdarza się raz na 100 lat. Buduje dumę, przyciąga gości i pokazuje młodym, że Czersk jest miejscem, w którym coś się dzieje. Część efektów – jak murale – zostaje z nami na lata.

Jubileusz to dobra okazja do bilansu. Co uważa Pan za największy sukces współczesnego Czerska, a co za problem, którego mimo kolejnych lat i kolejnych samorządów wciąż nie udało się rozwiązać?

Za sukces uważam to, jak Czersk się zmienił: nowe centrum, mieszkania, rozbudowane szkoły, odnowione obiekty kultury. I to, że dziś potrafimy organizować wydarzenia na wysokim poziomie, które przyciągają ludzi z całego regionu – ten jubileuszowy rok dobrze to pokazał. Ale prawdziwym sukcesem są ludzie: m.in. aktywne sołectwa, koła gospodyń, OSP, seniorzy z UTW, kluby sportowe. Ta wspólnota jest naszym największym kapitałem. Największym problemem jest depopulacja. Coraz większą część mieszkańców stanowią osoby w wieku poprodukcyjnym, rodzi się mniej dzieci, a część młodych nie wraca po studiach. Drugie ograniczenie to położenie w obszarach Natura 2000. Przyroda Borów Tucholskich to nasz skarb, ale ochrona przyrody utrudnia lokowanie u nas większych zakładów pracy, a bez nich trudniej zatrzymać młodych. Tych spraw nie da się rozwiązać w jednej kadencji, ale każda kadencja musi je posuwać do przodu.

100 lat temu uzyskanie praw miejskich było symbolem rozwoju i nowych aspiracji. Co dzisiaj powinno być takim symbolem awansu Czerska? Jaka inwestycja albo zmiana społeczna mogłaby za 20–30 lat zostać uznana za przełomową dla miasta?

100 lat temu symbolem awansu był status miasta. Dziś symbolem powinno być to, że młody człowiek może tu mieszkać, pracować i wychować dzieci – bez poczucia, że wybrał gorzej. Prawdziwy awans to Czersk, do którego się wraca, a nie z którego się wyjeżdża. Dlatego już dziś inwestujemy w to, co decyduje o wyborze miejsca do życia przez młode rodziny. Budujemy przedszkola i żłobki, rozwijamy ofertę dla młodych – choćby siłownie plenerowe i miejsca do aktywnego spędzania czasu. To nie są spektakularne inwestycje, ale za 20–30 lat właśnie one okażą się przełomowe. Zmianą społeczną, nad którą wszyscy musimy pracować, jest szacunek. Mówiłem 3 maja o odpowiedzialności za słowo. Miasto, w którym ludzie potrafią się różnić i nadal razem działać ma przewagę, której nie da się kupić – ale to wymaga codziennej pracy nas wszystkich.

Jednym z największych wyzwań małych i średnich miast jest zatrzymanie młodych ludzi. Co Czersk może zaoferować 20- czy 30-latkowi, żeby po studiach lub kilku latach pracy poza regionem chciał tutaj wrócić, znaleźć dobrą pracę, mieszkanie i założyć rodzinę?

Po pierwsze – mieszkanie. Rynek prywatny ma dziś w Czersku dużą ofertę: powstają nowe budynki wielorodzinne i domy, a ceny są znacznie niższe niż w Trójmieście. Dla osób, które nie chcą lub nie mogą kupić mieszkania, gmina zbudowała w ostatnich latach kilkadziesiąt mieszkań komunalnych, a w ramach Społecznej Inicjatywy Mieszkaniowej powstają mieszkania na wynajem z umiarkowanym czynszem. Po drugie – praca. Współpracujemy z przedsiębiorcami, a na początku października zorganizowaliśmy w GCK II Powiatowe Targi Pracy. Coraz więcej osób pracuje też zdalnie – dla nich Czersk to spokój, las i kolej pod ręką. Po trzecie – jakość życia: Bory Tucholskie, jeziora, sport, kultura, dobre szkoły i przedszkola. Ale uczciwie – nie wygramy z metropolią liczbą ofert. Możemy wygrać tym, że tu ktoś cię zna, a twoje zaangażowanie realnie coś zmienia. Chcę też, by młodzi czuli, że wspólnota ich wspiera – również w sprawach zdrowia psychicznego, o których mówiłem w tym roku publicznie.

Czersk jest centrum administracyjnym dużej gminy, więc rozwój samego miasta musi być godzony z potrzebami licznych miejscowości wiejskich. Czy mieszkańcy sołectw nie mają czasami prawa czuć, że jubileusz 100-lecia Czerska jest przede wszystkim świętem miasta? Jak zadbano o to, żeby było to wydarzenie całej gminy?

To pytanie jest zasadne, bo ponad połowa mieszkańców naszej gminy mieszka poza Czerskiem – w Rytlu, Łęgu, Odrach, Wojtalu, Gotelpiu i wielu innych sołectwach. Bez nich nie byłoby ani historii, ani przyszłości tego miasta. Czersk zawsze był centrum, do którego ludzie z okolicznych wsi przyjeżdżali do pracy, szkoły i na targ. Dlatego staraliśmy się, by jubileusz był świętem całej gminy. Konkursy i zapisy na wydarzenia były otwarte dla wszystkich mieszkańców. Jubileuszowy półmaraton przebiegał przez Odry, Łubnę i Malachin, a bieg na 10 km był w Ostrowitem. W ciągu roku odbyły się też Dni Rytla, koncerty, gminne dożynki, a w Wojtalu byliśmy gospodarzem Święta Powiatu Chojnickiego. Najważniejsze jest jednak to, że inwestycje nie dotyczą tylko miasta: szkoła w Rytlu, boisko w Gotelpiu, drogi w sołectwach. Jubileusz to 100 lat miasta, ale rozwój musi być wspólny.

W ramach jubileuszu dużo mówi się o historii i lokalnej tożsamości – odbywały się m.in. wykłady historyczne w szkołach i konkurs „Czersk moimi oczami". Co pozostanie po jubileuszu, kiedy znikną dekoracje i zakończą się imprezy? Czy powstanie trwałe archiwum, publikacja, miejsce pamięci albo projekt edukacyjny dokumentujący historię miasta?

Zostanie sporo rzeczy trwałych: 18 murali przy ul. Rynkowej przedstawiających panoramy miasta, „Akt upamiętnienia 100. rocznicy nadania Czerskowi praw miejskich"



przyjęty przez Radę Miejską, utwór *Miasteczko zwane Czersk*, ponad 100 prac z konkursu „Czersk moimi oczami", film historyczny *Historia Czerska w pigułce*, wywiady z mieszkańcami, mural TORT z inicjatywy mieszkańców i sponsorów, jubileuszowe medale z biegów oraz pamiątki i gadżety z logo stulecia, które trafiły do wielu domów. Zostaną też wspomnienia wydarzeń, które pokazały, na co stać małe miasto. Uroczysta sesja Rady Miejskiej 1 lipca stała na bardzo wysokim poziomie – mówili o tym zaproszeni goście, przedstawiciele parlamentu i włodarze gmin. Sala sportowa zamieniła się w salę koncertową, wystąpili artyści Opery Nova z Bydgoszczy, a film przypomniał historię Czerska. Pochód 3 Maja przeszedł ulicami miasta z orkiestrą, chórem, strażakami, rolnikami, dziećmi i seniorami. A urodzinowy tort dla miasta powstał dzięki sponsorom, którzy dołożyli się do tej inicjatywy. Dekoracje znikną, ale jeśli dzieci będą wiedziały, dlaczego 1 lipca jest dla Czerska ważny, jubileusz spełni swoją rolę.

Wyobraźmy sobie Czersk podczas obchodów 150-lecia praw miejskich w 2076 roku. Jakiego miasta chciałby Pan wtedy dla kolejnych pokoleń? I – bardziej konkretnie – jakie decyzje trzeba podjąć już dziś, żeby taka wizja miała szansę się spełnić?

Chciałbym, żeby w 2076 roku Czersk był miastem, do którego się wraca. Zielonym, bezpiecznym, z żywym centrum, dobrymi szkołami i pracą na miejscu. Miastem, w którym nadal ludzie się znają, a seniorzy i młodzi mają wspólne miejsca spotkań. I miastem,



które pamięta swoją historię, ale się nią nie zasłania. Żeby to się udało, decyzje trzeba podjąć już teraz:

- planować przestrzeń z myślą o pokoleniach, a nie kadencjach – tereny pod mieszkania, zieleń i inwestycje,
- konsekwentnie budować mieszkania na wynajem dla młodych rodzin,
- inwestować w edukację, bo szkoła decyduje, czy młodzi tu zostaną,
- dbać o las, wodę i powietrze oraz rozwijać parki i infrastrukturę – mądrze, bo obszary Natura 2000 są dla nas zarówno skarbem, jak i ograniczeniem,
- pozyskiwać środki zewnętrzne i zachowywać ostrożność finansową, by nie obciążać przyszłych pokoleń długiem,
- budować wspólnotę opartą na szacunku i odpowiedzialności za słowo.

Nikt z nas nie wie, kto będzie burmistrzem w 2076 roku. Ale już dziś możemy sprawić, że będzie miał z czego być dumny.

Rozmawiał: Jacek Klajna
Fot. ze zbiorów UM w Czersku

Kwartalnik Chojnicki
nr 57/2026

OFICYNA
artystyczna



MARIA JUDEJKO

Mistrzyni świata
we fryzjerstwie

W październiku 2025 roku Chojniczanka Joanna Labun-Kuchar została mistrzynią świata we fryzjerstwie damskim. Wcześniej była mistrzynią Polski, kilkakrotnie wicemistrzynią świata, zdobywała wiele innych pucharów, medali i odznaczeń w różnych kategoriach. Fryzjerstwo to nie tylko jej zawód, ale też pasja. Prawdopodobnie odziedziczyła ją po matce. Gdy była dzieckiem, mama, która prowadziła zakład fryzjerski, zabierała ją ze sobą do pracy. Mała Asia patrzyła, analizowała i chłonęła tajniki fryzjerstwa.

Można powiedzieć, że fryzjerstwo to zawód rodzinny, ponieważ brat i jedna z kuzynek też zostali fryzjerami. Na pewno matka miała na to wpływ. Wykształciła wielu fachowców nie tylko w rodzinie. Dla niej praca też była i nadal jest pasją. Jej ojciec chciał, żeby została rzeźnikiem, lecz ona postawiła na swoim i nigdy tej decyzji nie żałowała. Dlatego, gdy przyszedł dla córki czas wyboru zawodu, nikt nie narzucał jej swojego zdania.

Wprawdzie Joanna zastanawiała się nad psychologią, ewentualnie prawem, ale ostatecznie wybrała fryzjerstwo. Miała konkretną wizję. Nie chciała skończyć na zawodówce, planowała zdobyć maturę i może sięgnąć wyżej. Dlatego zapisała się do zaocznego liceum



Joanna Labun-Kuchar z medalem i pucharem mistrzyni Świata



Fryzura, za którą Joanna Labun-Kuchar otrzymała tytuł mistrzyni Polski

ogólnokształcącego w Chojnicach, jednocześnie ucząc się fryzjerstwa systemem dość niekonwencjonalnym, bo nie uczęszczała do szkoły. Praktykowała w zawodzie w jednym z renomowanych zakładów fryzjerskich w Bydgoszczy, natomiast w szkole zdawała tylko egzaminy. Obie z mamą uznały, że nauka pod jej okiem nie byłaby rozsądna, ponieważ siłą woli korzystałaby z pewnych przywilejów, a poza tym chciały uniknąć ewentualnych konfliktów, które mogły być generowane zbieżnością temperamentów i uporem nastolatki.

Wybrała znane zakłady fryzjerskie rodziny Zarembów w Bydgoszczy. Seniorka rodziny, pani Joanna Zaremba, została mentorką chojnickiej Asi, u jednej z jej córek praktykowała, a druga, pani Joanna, prowadząc Akademię Fryzjerską (Zaremba International Academy), została jej trenerką. Seniorka, jako młoda dziewczyna, uzyskała tytuł mistrzyni ZSRR, natomiast pani Joanna została mistrzynią świata. Gdy Asia z Chojnic po raz pierwszy spotkała ją, westchnęła i z podziwem pomyślała: „Boże, ja też bym chciała zostać kiedyś mistrzynią". Tym sposobem pani Joanna stała się dla niej inspiracją. Asia miała wówczas 16 lat.

Przez pięć dni w tygodniu odbywała naukę w zakładzie, a w weekendy przygotowywała się do matury w chojnickim liceum. Zdobywała dużo większe doświadczenie, niż uczniowie z zawodówki, którzy praktykę mieli tylko jeden dzień tygodniowo. Było ciężko, ale wyznawała zasadę i wyznaje ją do dzisiaj, że najpierw musi być ciężko, żeby później było łatwiej.

Ciekawostką z tamtego czasu było to, że w internacie zamieszkała z zapaśniczkami. Jedna z nich została mistrzynią świata i można powiedzieć, że dwie przyszłe mistrzynie świata mieszkały w jednym pokoju.

Joanna chłonęła wiedzę doświadczonych fryzjerek, które jeździły na różne konkursy i osiągały dobre wyniki. Była pilna i uparta. Jeśli nawet miała trudne momenty, to je przezwyciężała. Zdopingowana przez panią Joannę – seniorkę, zgłosiła swoją kandydaturę do konkursu fryzjerskiego w konkurencji „koki", organizowanego przez bydgoski Cech Rzemiosł Różnych. Był to ważny konkurs, ponieważ udział w nim, oprócz satysfakcji, dawał uczniom możliwość zaliczenia końcowych egzaminów zawodówki. Zatem gdy Joanna Labun się zdecydowała, pani Asia została jej trenerką. Joanna zajęła wówczas 15. miejsce, ale złapała bakcyla.

Później były następne konkursy. W 2012 roku w Poznaniu została mistrzynią Polski w kategorii fryzur technicznych. Nie są to fryzury na co dzień, lecz takie, które pobudzają wyobraźnię, wymagają umiejętności technicznych, znajomości geometrii i zręczności. Przy pomocy rąk, lakieru i odpowiedniej oprawy powstają wówczas prawdziwe dzieła sztuki. Czempionat krajowy otworzył Joannie drogę do późniejszych sukcesów międzynarodowych, ponieważ pozwolił na dołączenie do prestiżowej federacji CMC (*Confederation Mondiale Coiffure*). Członkostwo w CMC lub OMC stanowiło warunek startu w mistrzostwach świata.

Po powrocie do Chojnic Joanna zaczęła pracę na własny rachunek. Wiedziała, że nie może mieć szefa, dlatego sama musiała stworzyć sobie miejsce pracy. Wykonując zawód fryzjerki, wciąż startowała w różnych konkursach. Po zdobyciu tytułu mistrzyni Polski zamarzyła zostać mistrzynią świata, jak jej szefowa, a że z natury jest uparta, cierpliwie dążyła do celu. Dlatego jeździła do Bydgoszczy raz w miesiącu, słuchała uwag i zaleceń trenerki, pani Joanny, a w swoim salonie ćwiczyła po pracy, nie zapominając jednocześnie o podnoszeniu wykształcenia.

W mistrzostwach świata po raz pierwszy wystartowała w 2021 roku we Włoszech. Zajęła 4. miejsce, a potem były kolejne sukcesy. Między innym wielokrotnie zdobywała wicemistrzostwo świata, ale pierwsze miejsce nadal było marzeniem. Przeżywała rozczarowanie, czuła gorycz, ale się nie poddawała, bo każdy konkurs był dla niej wyzwaniem i okazją do zaprezentowania swoich umiejętności. Jej skomplikowane, widowiskowe fryzury techniczne i kreatywne, wymagające opanowania skomplikowanej geometrii, precyzji strzyżenia oraz rzemieślniczego kunsztu bywały oceniane wysoko. Jej innowacyjne techniki oraz niepowtarzalny styl przyciągały uwagę sędziów i publiczności.

W końcu dopięła swego. W 2025 roku stanęła na najwyższym podium. Zdobyła pierwsze miejsce podczas Mistrzostw Świata CMC w Londynie, które odbyły się w czasie prestiżowych targów Salon International. Otrzymała tytuł mistrzyni świata. Po wielu latach pracy i dążenia do doskonałości w końcu spełniło się jej marzenie. Udowodniła, że wszystko jest możliwe. Zdolności, determinacja i artystyczne wyczucie mogą zdziałać cuda. Zaprezentowaną fryzurę techniczną charakteryzował najwyższy kunszt fryzjerstwa.



Fryzura, za którą Joanna Labun-Kuchar otrzymała tytuł mistrzyni świata

Dzięki dobrym nauczycielkom opanowała nie tylko sztukę fryzjerstwa, ale też indywidualnego podejścia do klienta. To one nauczyły

ją, że przyjazny uśmiech wzbudzi zaufanie i zapewni dobre samopoczucie klienta, natomiast profesjonalizm zagwarantuje pełne zadowolenie.

Ogromną zasługę miała w tym także jej matka, Maria Labun. O jej doświadczeniu i profesjonalizmie świadczy chociażby fakt, że bywała członkiem komisji egzaminującej uczniów ze szkół zawodowych w Cechu Rzemiosł Różnych w Bydgoszczy. Gdy córka zaczęła prowadzić swój salon, obie startowały nieraz w tym samych konkursach. Jednak nie rywalizują ze sobą. Przygotowując się, wzajemnie sobie doradzają. W światowych zmaganiach, gdy córka została mistrzynią świata, mama w tym samym konkursie zdobyła 5. miejsce. Uczestniczyło wówczas 500 fryzjerów z 36 krajów. Natomiast w 2022 roku, gdy Joanna po raz pierwszy zdobyła we Włoszech wicemistrzostwo świata, obie startowały w pokazie drużynowym, w którym zajęły 3. miejsce. Córka, startując dodatkowo w innych konkurencjach, zdobyła wówczas 2. miejsce w Creativ CMC.

Joanna, mówiąc o mamie, twierdzi: – „To doświadczona mentorka, która zaszczepiła mi pasję do fryzjerstwa i wciąż bierze udział w konkursach, udowodniając, że kunszt techniczny nie ma limitu wieku". Zapytana, jak się odbywa przygotowanie do konkursu, Joanna odpowiada: – „Najpierw zgłasza się swoją kandydaturę, określając konkurencję. Na przykład może to być fryzura techniczna, kreatywna, kok, włosy długie lub krótkie. Kilka miesięcy przed konkursem, wiedząc, w jakiej dziedzinie się startuje, razem z trenerem ustala się formę fryzury, kolor włosów i strój, uwzględniając regulamin konkursu – czas trwania, liczbę kolorów, styl. Należy wybrać taką fryzurę, na zrobienie której swobodnie pozwoli określony w regulaminie czas. Potem ćwiczy się na modelu, na tzw. główce. Ten etap przygotowań jest mało atrakcyjny, bo nie pracuje się nad szczegółami, lecz nad ogólną bryłą. Dopiero po opracowaniu



Joanna Labun-Kuchar z pucharem mistrzyni świata w fryzjerstwie

bryły wchodzą kolory, makijaż i strój. Ponieważ modelem jest główka, strój dotyczy jedynie okolicy szyi i ramion. Na konkurs jedzie się z pomalowanymi na główce włosami. Z chwilą wejścia na płytę startową i hasłem »Start!« rozpoczyna się praca nad fryzurą konkursową. Na hasło »Stop!« wszyscy kończą pracę, w przeciwnym razie komisja dodaje punkty karne, które uniemożliwiają wejście na podium. Zawodnicy zostawiają swoje anonimowe główki i schodzą z płyty startowej, na którą wchodzi wówczas komisja i ocenia".

Joanna lubi tworzyć nowe fryzury. Nie narzuca własnych opinii, ale doradza i cierpliwie argumentuje, uwzględniając typ urody, cerę, kształt twarzy, stan włosów oraz oczekiwania klienta. Wie, że każda następna fryzura nie będzie już taka sama, ale to właśnie pozwala tworzyć coś niepowtarzalnego. Specjalizuje się też w stylizacji i tworzeniu fryzur ślubnych, podkreślających naturalne piękno panny młodej.

Zdobywszy najwyższe wyróżnienie, czuje się spełniona. Skończyła studia, zdobyła najwyższy laur, a teraz postanowiła się sprawdzić jako trenerka. Lubi dzielić się wiedzą i doświadczeniem. Przygotowując innych do konkursu, czuwa nad całością, dzieli się uwagami, ogarnia trendy, regulamin, proporcje, przypomina o terminach, dopinguje. Gdy jej podopieczni startują w konkursach, czuje podobny przypływ adrenaliny, jak podczas osobistych zmagań, emocje sięgają wówczas zenitu. Najpierw są nerwy, a potem satysfakcja, bo sprawdziła się jako trenerka. Widząc zaprojektowaną przez siebie pracę, ale wykonaną cudzymi rękami, i to bardzo dobrze, czuje podwójną satysfakcję, ponieważ nie tylko skutecznie podzieliła się wiedzą i doświadczeniem, ale udowodniła, że praca jej nauczycieli nie poszła na marne.

W bieżącym roku na mistrzostwach Polski w Poznaniu wystartowały jej cztery podopieczne. Jedna z nich zajęła 4. miejsce. Za wcześnie, by powiedzieć, że trenerstwo to także jej pasja, ale lubi to, co robi. Obserwowanie, jak podopieczne rozwijają technikę, budują pewność siebie i z chęcią wracają na płytę startową, daje jej ogromną satysfakcję. Gdy widzi ich stres, skoki adrenaliny, walkę i radość z sukcesu, bardzo dobrze je rozumie. Będąc obok, dzieli z nimi każdą sekundę drogi, jaką sama przebyła, i budzi to w niej niesamowite emocje. Choć z drugiej strony ogarnia ją czasem żal, bo trenując innych, nie startuje już w konkursach. Jeśli trenerstwo stanie się jej drugą pasją, to będzie znaczyć, że jej zamiłowanie może przybierać wiele form i każda z nich może być wyjątkowa.

Zapytana o plany na przyszłość, odpowiada: – „Przyszłość to dalsza praca w salonie, trenerstwo i ciągłe doskonalenie, ponieważ fryzjerstwo to sztuka projektowania w przestrzeni. Fryzjer jest architektem fryzury, a dążenie do doskonałości jest moją drogą. Bardzo lubię, gdy klient wychodzi z zakładu zadowolony. Moim marzeniem jest stworzenie własnej akademii, ale nie chcę zapeszać. Czas pokaże".

I chyba to prawda. Klientki mówią o niej: „czarodziejka", „fryzjerka z pasją", „mistrzyni", „perfekcyjna". To chyba coś znaczy. Dlatego oprócz gratulacji należy życzyć pani Joannie dalszych sukcesów, spełniania marzeń, wyszkolenia całej rzeszy młodych fryzjerów, mistrzów oraz bardzo wielu zadowolonych klientek i klientów.

Fot. ze zbiorów Joanny Labun-Kuchar



MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W CHOJNICACH

Godziny otwarcia

WYPOŻYCZALNIA DLA DOROSŁYCH

poniedziałek, środa, czwartek i piątek - 10.00-18.00
wtorek - 9.00-15.00

CZYTELNIA I PRACOWNIA REGIONALNA

poniedziałek, środa, czwartek i piątek - 10.00-18.00
wtorek - 9.00-15.00

WYPOŻYCZALNIA I CZYTELNIA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

poniedziałek i czwartek - 11.00-16.00
wtorek 11.00-15.00
środa i piątek 11.00-18.00

WYPOŻYCZALNIA I CZYTELNIA NAUKOWA

poniedziałek, środa, czwartek i piątek - 10.00-18.00
wtorek - 9.00-15.00
sobota - 10.00-15.00

MEDIATEKA

poniedziałek, środa, czwartek i piątek - 10.00-18.00
wtorek - 9.00-15.00



Miejska Biblioteka Publiczna
w Chojnicach